

DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: Zgrzebne pieśni • Swetoniusz po polsku • Z życia szkół • Z Teatru imienia Osterwy • Listy muzyczne • W stronę młodych • Morze • I inne

CUD NAD MORZEM

MAREK A. JAWORSKI

Miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jak u Boga na łonie;
Może nie wiedzieć Polak, co to
morze —
Gdy pilnie orze...

NA SZCZĘŚCIE ten — zapewne wówczas nie tylko indywidualny — pogląd Sebastiana Klonowicza pogrzebał czas. Doświadczenie historyczne najlepiej pokazało, czym jest dla Polski Bałtyk — okno na świat.

W okresie Polski przedwrześniowej było to właściwie nie okno ale okienko, 140-kilometrowy pas wybrzeża (w tym i półwysep Helski) — to diabeł nie mało, jak na masze potrzeby i aspiracje. Podkreślam nasze, bo aspiracje pilsudczykowskiach bonzów wykraczały daleko poza granice zdrowego rozsądku, stanowiąc szczyt megalomanstwa i głupoty politycznej. Towarzystwo mające krzewić wśród społeczeństwa wiedzę o morzu nosiło oficjalną nazwę: Liga Morska i Kolonialna. Nie wystarczyło propagowanie hasła Polski od morza do morza; rząd nie umiejący pokierować własnym państwem chciał rozwiązywać problemy wewnętrzne drogą ekspansji i wyzysku innych narodów. Całe szczęście, że znalazło się trochę rozsądniejszych ludzi, którzy mniej patrzyli na Afrykę, a więcej, na... Gdynię. Dzięki temu mogliśmy w pewnej mierze uniezależnić się od potworka wersalskiego, Wolnego Miasta Gdańska, i założyć jakie takie podwaliny naszej floty handlowej.

W 1945 roku, gdy wracając nad Bałtyk wróciliśmy nie tylko do Gdyni i Gdańska, ale i do Kołobrzegu i Szczecina, gdy granica morska powiększyła się do prawie 500 kilometrów, nasze skromne okienko na świat przekształciło się w wielkie świetne okno. W oknie tym brakowało jednak szyb — porty, zdewastowane przez wycofujące się oddziały hitlerowskie, zniszczone przez alianckie bomby, zdruzgotane lawiną wojny, trzeba było przywrócić życiu.

Ladnie to się mówi „przywrócić życie”, ale pomyślmy (cytuje słowa T. Dąbrowskiego, dyr. Departamentu Portów Ministerstwa Żegluga i Gospodarki Wodnej — „TYGODNIK MORSKI” 21 czerwca 1959):

Na skutek działań wojennych i planowego rabunku przez okupantów gospodarki morskiej — 40 proc. wyposażenia portowego znalazło się w gruzach. Wartość zniszczeń przekroczyła 270 milionów złotych przedwojennych.

W 1945 r. Gdańsk nie posiadał czynnych urządzeń przeladunkowych, pozabawiony był magazynów sieci elektrycznej, telefonicznej i wodociągowej. Wejście do portu blokowali różne wraki.

W Gdyni Niemcy, stosując specjalną technikę zniszczenia, zburzyli 78 proc. falochronów, 45 proc. nabrzeży, 62 proc. dźwigów. W basenach znajdowało się trzydzieści kilka zatopionych statków, wśród nich wraki okrętów liniowych „Gneisenau” i „Schleswig Holstein”.

Analogiczne zniszczenia dotknęły Szczecin. Z 126 dźwigów pozostało tylko 7, ze 150 tys. m² krytej powierzchni składowej niespełna 65 tys. m², z 16 mostów nie został ani jeden...

Bez przesady można więc powiedzieć, że — obejmując porty — musieliśmy tu zaczynać niemal od podstaw. Odbudowywać i, pracując w oparciu o pewien plan perspektywiczny, myśleć o przyszłości.

Nie chcę zanudzać cyframi, chociaż nawet dla laika spraw morskich wymowa ich byłaby oczywista. Poza cyframi trzeba jednak umieć dostrzegać ludzi, którzy w twardej powojennej warunkach, nie pytając „za ile”, nie patrząc na zegarki, potrafili w rekordowo szybkim czasie dokonać cudu.

Ten cud zapewne lepiej od nas dostrzegali cudzoziemcy, nawet sami Niemcy nie zatruli czadem hitlerizmu. Niemiecka literatka, Elga Kern, pisała w 1948 r. po zwiedzeniu portu szczecińskiego:

„Czy istotnie morze woła nowych ludzi tej ziemi? Wyjdźcie tylko do portu szczecińskiego, przyjrzyjcie się w milczeniu, z głębokim przejęciem i uznaniem tym ludziom, którzy, idąc za nakazem morza, pracują tu w pocie czoła, ludziami silnej woli... Nowy świat powstaje na tej ziemi, uwolnionej od win dawnego ginącego i chorego świata. Cena tego nowego świata jest praca Polaków...”

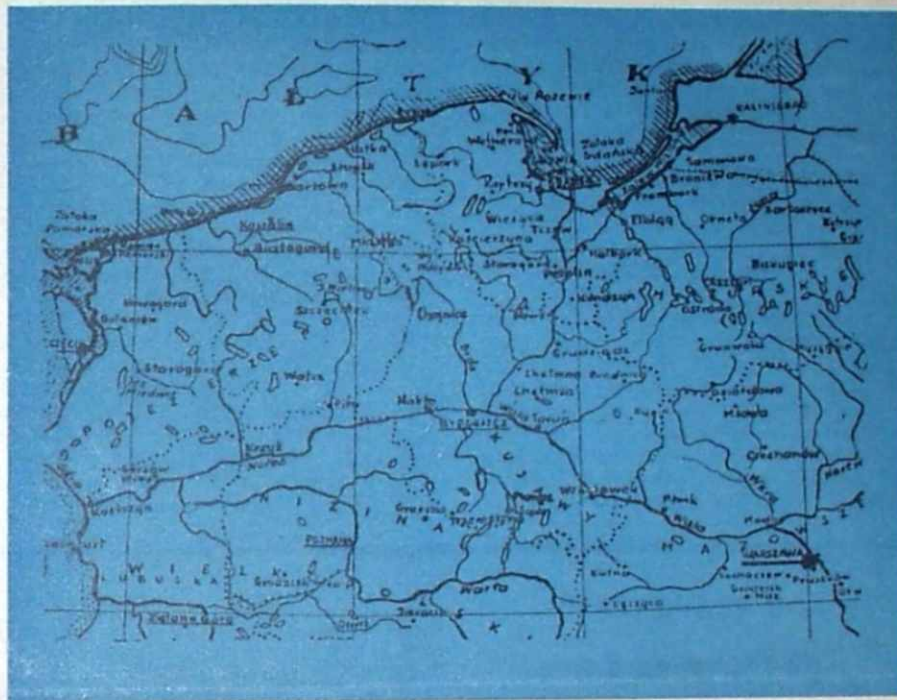
W 1959 roku port szczeciński przeladował 7.339.600 ton towarów, co stanowi około 40 proc. ogólnych obrotów portów polskich. A więc Szczecin zdystansował już i Gdynię i Gdańsk, a jako port tranzytowy (CSR, Węgry) zagroził dotychczasowej supremacji Hamburga!

SZEROKI dostęp do morza — zobowiązuje. Spoglądanie na cudze statki — zaostrza apetyt.

„Albośmy to jacy tacy?”
Ludzie, którzy jeszcze wczoraj — jak mówi Klonowicz — pilnie orali, zmienili swój zawód: produkują okręty. I to jakie okręty! Daleko odskoczyliśmy od 1939 roku, kiedy nie śniło nam się nawet o własnym przemysle stoczniowym. Dziś nasze stocznie produkują nie tylko dla potrzeb krajowych, ale i na eksport: ZSRB, ChRL, Indonezja, Brazylia — że nie wymienię innych państw — cenią nasze statki. Cenią i kupują je, przysparzając nam dewiz.

W 1948 roku, gdy przystępowano do odbudowy i rozbudowy zniszczonej stoczni szczecińskiej — brzmi to jak anegdota — nikt właściwie w całej (!) Polsce nie wiedział, jak się produkuje statki. Owszem — niektórzy pracowali jakiś czas w stocznicach zagranicznych, lyknęli trochę wiedzy, ale wiedza ta była bardzo fragmentaryczna. To też trzykrotnie robiono dokumentację pierwszego statku, a

(Dokończenie na str. 7)



ERA SPUTNIKÓW w tomaszowskim powieście

Oczami Służby Zdrowia

ALINA TOMASZEWSKA

Denaturat, „obrazu boska”, dzieci i kołtuny

W południowo-wschodnim zakątku województwa lubelskiego, na skraju Roztocza, leży powiat tomaszowski. Jak wszędzie, tak i tu, buduje się trochę nowych domów, ale więcej niż wszędzie wali się domów starych, których nikt nie lata, nie remontuje. „Bo po co? I w ogóle co człowiek z tego życia ma? Tyle co się napije i o wszystkim zapomni”. A że wódka droga, więc popyt na spirytus denaturwany niemały. Podobno ma on świetne właściwości lecznicze.

— Póki piłem wódkę — opowiada w Przychodni Obwodowej ob. Z. — ciągle chorowałem na żołądek. Odkąd przeszedłem na denaturat, jak ręką odjął.

B. twierdzi, że pije z rozpaczy.
— Jak mam nie pić, panie doktorze, kiedy chłopak po trzy lata siedzi w jednej klasie, a dziewczyna ma osiem lat i nie mówi ani słowa, tylko belkocze. To by i kamień tego nie wytrzymał.

Sąsiedzi twierdzą inaczej: pił „od zawsze”. Ale nikomu nawet do głowy nie przyjdzie winić ojca o kretyństwo dzieci.

Według danych tomaszowskiej Służby Zdrowia, do niedawna było o wiele gorzej. Ale i teraz jeszcze piją w Oseredkach, Suścu, Kunkach. Piją zwłaszcza w uboższej, zachodniej części powiatu.

W rezultacie na 18 m² mieszka ojciec, matka i dwanaścioro dzieci, z których najstarsze chodzi do szkoły

średniej. Na 12 m² mieszka rodzina złożona z 9 osób itd.

Poradnia Świadomego Macierzyństwa w Tomaszowie ma ręce pełne roboty i znikome rezultaty. Pogadanki uświadamiające prowadzone są na oddziale położniczym i ginekologicznym miejscowego szpitala, w izbach porodowych i przychodniach „K” wszystkich ośrodków zdrowia. Cóż z tego, kiedy najczęstsza odpowiedź brzmi:

— A gdzie by mi się to chciało. Zresztą wstyd i obrazu boska. Jak „zaskoczę” to mi „wyskrobia” i spokój.

Tak. Cztero — a nawet pięciokrotnie w ciągu roku u tej samej kobiety sztuczne poronienia nie są uważane za coś złego czy niemoralnego. Za to stosowanie środków antykoncepcyjnych to „bezwstyd”, i „boska obrazu”, i „grzech”.

— A czy przerywanie ciąży nie jest „gorszym grzechem”?

— A nie, bo to tylko raz zgrzeszę. A tak za każdym razem, kiedy użyję tego tam, co pan doktor radzi...

Osobliwa mentalność.

— U nas może bardziej niż gdzie indziej — mówi kierownik Przychodni Obwodowej w Tomaszowie dr Stanisław Klimkiewicz — daje się we znaki ta niechęć do stosowania środków antykoncepcyjnych. A przecież trzy — cztery — pięciokrotnie poronienia w ciągu roku wyniszczają organizm kobiety. Często też zdarza się, że kobiety, zwłaszcza wiejskie, zgłaszają się dopiero w czwartym miesiącu.

(Dokończenie na str. 7)

ZGRZEBNE PIĘŚNI

TADEUSZ KLAK

Boję się Jana Poca nazwać poetą ludowym. Jest przecież chłopem, pracuje na roli i — pisze wiersze. Spełnia więc wszystkie warunki, by na takie określenie zasłużył. A jednak nie użyję tej nazwy, bo mogłaby Pocka krzywdzić, tyle z nią wiąże się nieporozumień. Pocka wyróżnia spośród tzw. poetów ludowych autentyczny talent poetycki, poświadczony już wydanym zbiorkiem wierszy („Zgrzebne pieśni”. Łódź 1947, Ludowy Instytut Kultury). Narodzeniu zbiorku patronował nie byle kto, bo wybitny poeta Stanisław Piętak. W tym opiekunostwie doświadczony poeta nad początkującym wtedy Pockiem wyraża się pokrewieństwem głębszej natury. Istotnie Pocka zbliżony jest do Piętaka typem wyobraźni i talentu. Ogromna szczerość i bezpośredniość, łatwość wzruszenia, żywiołowa uczuciowość. To jest także wynikiem świadomych założeń całej twórczości Pocka, dla którego nie jest warcją poezja, w której poeta nie pozostawia własnego serca. A o to wyznaczenie wiary z wiersza „O sztuce”:

Nie wart jest Piękno
tworzone przez ludzki geniusz
gdy w sobie nie ma
uśmiechu dziecka
do bochenka razowego chleba...

Pocka zachował w stosunku do świata dziecięcą prawie świeżość spojrzenia. Przez to jego uczuciowość, choć tak bezpośrednia, nie ma nic z łatwości i sentymentalizmu. A tematyka większości utworów daje po temu dużo sposobności jak też niektórzy ideowi patroni poety. Pisze bowiem gdzieś Pocka, że ukochają ziemię miłością Ja-

JAN POCEK

M A T K A

Ma stara matka szara jak krzyżak na książce do nabożeństwa
ma w swojej bezsenności nocami poradloną twarz
więcej powagi, dostojności i najprostszego piękna,
niż inicjały na kartach starodawnych brewiarzy.

I zgasłe, na pół oślepię oczy od trudu i lez
pogodniej patrzę w przyszłość, niż lipiec na polne żniwa.
To przeogromne piękno, ową starczą urodę zrodziła w Niej
miłość czarnej, ojczyźnej ziemi, którą mocniej kocha niż mnie — syna!

na Kasprowicza i żarem Marii Konopnickiej. Na szczęście Pocka odrzucił poetykę Konopnickiej, tak jak powinien się oprzeć dalszym wpływom Kasprowicza. Ostatnie bowiem jego wiersze są świetną kontynuacją „Księgi ubogich”. Pocka dobrze trafił w rytm Kasprowiczowski wiersza, w gazdowski zamysł nad światem. Ale Pocka stać na wiersze zupełnie współczesne w wyrazie artystycznym. To utwory, znów tak jak u Piętaka pisane wierszem wolnym, o zmiennej, powolnej i szerokiej frazie. Ten sposób pisania najlepiej odpowiada poecie.

Największą wartością twórczości Pocka zawiera się w samym tworzeniu. Tu — w przeciwieństwie do wielu poetów ludowych, którzy imitują zazwyczaj wzory literackie — Pocka jest autentycznym chłopem i jego wyobraźnia tkwi w najbliższym świecie: wsi, sad, słońce, pola, żniwa. Pocka przynajmniej do piastowskiego pochodzenia chłopca, to go wywyższa, przydaje godności. Życie na wsi w ujęciu Pocka to swoista liturgia: żniwa odmawiają pacierz, kosa jest baldachimem, a chłop kapłanem, który celebrować uroczystość żniwną. Przepychy uroczystości podkreśla „złoty” ornament, tak przez poetę ulubiony. O matce powie, że ją widzi „z monstrancją sierpa w dłoni”.

Związek poety z ziemią jest prawie mistyczny. W kwiatkach jest zakochany „jak pszczoła”. Metaforyka Pocka bywa zawsze konkretna, dla niego codzienna i naturalna, dla nas często tak zaskakująca i odkrywcza.

Pocka należy do poetów o wyobraźni zawężonej do pewnych kręgów tematycznych. Jeden krąg to fanatyczna chłopska miłość ziemi, drugi — to matka.

Matka ma chodzić w koronie z potu,
w brylantach z lez,
lnianą koszulą jak szatą złotą
stroić swą pierś...

To jak by stylizacja na obraz chłopskiej Madonny. Poeta nie poddaje się zwykłemu opisowi cierpienia i biedy, on nadaje jej inną rangę, uwzniośla, kanonizuje. Wydaje mi się, że nawet ten jedyny przykład wskazuje, iż mamy do czynienia z prawdziwym powołaniem poetyckim.

Jan Pocka urodził się w r. 1917, mieszka w Kaleniu (powiat puławski) i pracuje w własnym gospodarstwie. Poza wspomniany zbiorek ogłaszał swe utwory w „Almanachu Literackim”, „Zdroju”, „Orce” i prasie ludowej. Wiersze jego zasługują na nową książkową publikację.

SWETONIUSZ PO POLSKU

JERZY STARNAWSKI

Zjemy w okresie ogromnego renesansu przekładów z literatury greckiej i rzymskiej. Druga seria Biblioteki Narodowej poświęcona arcydziełom literatury obcej wzbudziła się o kilkanaście nowych tomików zawierających dzieła poetów i pisarzy antycznych. W wydaniach osobnych — nakładem Czytelnika, Ossolineum, PIW, Biblioteki Meandra i innych — ujrzały światło dzienne nadszyczone „Aranne i nieraz naprawdę piękne tłumaczenia dzieł Ajschylosa, Arystofanesa, Herodota, Tukididesa, Teofrasta, Cezara, Sallustiusza, Tacyty i innych.”

Zjawisko to z jednej strony ogromnie pocieszające, gdy zważy się na to, jak wielka liczba pisarzy antycznych dociera do domów polskich — jest także zjawiskiem smutnym, gdy uprzytomnimy sobie konieczność nowych tłumaczeń wobec zupełnego prawie zaniku znajomości języków starożytnych.

Z ostatnich osiągnięć w zakresie tłumaczeń z literatury antycznych zwraca uwagę Swetoniusz w polskiej szacie wydany z nadszyczoną starannością

sieli napisać wypracowanie lub wykonać rysunek na temat: Jak sobie wyobrażam film zrealizowany na podstawie wydarzeń z historii Tysiąclecia Państwa Polskiego. Specjalnie powołana do oceny prac komisja zapewni, że udane i ciekawe prace rysunkowe uczniów będą umieszczone na wystawie objazdowej, pisemne zaś — publikowane w prasie filmowej. Niezależnie od tego na zwycięzców konkursu czeka szereg wartościowych nagród.

Staraniem Kuratorium, Inspektoratu Oświaty, KM ZMS i Komendy Hufca ZHP w połowie czerwca br. uczniowie szkół średnich, starszych klas szkół podstawowych i drużyny harcerek z Lublina wzięli udział w wielkiej imprezie pod nazwą „Zakład”. W barwnym pochodzie, który przeszedł ulicami naszego miasta, zobaczyliśmy m. in. uczniów w strojach ludzi znanych bohaterów literackich i historycznych.

W czerwcu odbyła się konferencja rejonowa nauczycieli Szkół Podstawowych Nr 1, 2 i 16. Tym razem nie przeprowadzono jej tradycyjnie w Lublinie, miejscem obrad stały się Puławy. Uczestnicy konferencji wysłuchali referatu na temat „Puławy w dziejach Polski”, zwięźliście Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego oraz miejscowe muzeum.

W Bilgoraju odbył się zjazd absolwentów Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej stopnia licealnego, zorganizowany przez maturzystów klasy XI c z 1950 roku dla uczczenia 10 rocznicy otrzymania świadectw dojrzałości.

Już ponad 3.000.000 złotych przekazali mieszkańcy Lublina w bieżącym roku na Społeczny Fundusz Budowy Szkół co stanowi trzecią część planu rocznego. Dzięki temu nasze miasto zajęło zdecydowanie pierwsze miejsce w zbiorze na terenie województwa, które — niestety — znajduje się w tej chwili dopiero na 15 miejscu w Polsce, mając na swym koncie tylko 19,4% wykonanego planu zbiórki funduszu. Poza Lublinem dobrze wywiązuje się z podjętych zobowiązań Puławy i Krasnostaw, natomiast najgorsze wyniki uzyskano dotąd w Lubartowie, Parzewie i Krasniku. Dzięki funduszom społecznym Lubelszczyzna w ciągu 7 lat wybuduje 78 nowych szkół, gdyby jednak zbiórka przebiegała planowo, przy pełnym, ofiarnym poparciu społeczeństwa — byłoby wówczas w stanie postawić około 200 budynków. Od naszej postawy zależy zatem, czy wszystkie dzieci miast, miasteczek i wsi lubelskich znajdą dla siebie miejsce w szkołach.

W Szkole Podstawowej Nr 18 w Lublinie zorganizowana została Okręgowa Wystawa Szkolnictwa, na której młodzież wszelkiego typu szkół istniejących na Lubelszczyźnie (włącznie z przedszkolami) zaprezentowała swój ogromny dorobek i poziom wykształcenia zawodowego. Wystawa zajęła 19 sal o powierzchni 2.000 m², a wartość wyprodukowanych przez młodzież naszego województwa różnego rodzaju towarów wyniosła w ostatnim roku 18.000.000 złotych. Na wystawie można było zobaczyć tyle atrakcyjnych rzeczy, że z konieczności trzeba było ograniczyć do wyliczenia tylko najciekawszych zdobyczy młodzieży. Oto co produkuje m. in. warsztaty szkół lubelskich: telewizory, pralki elektryczne, 3-tonowe tarki, piły, wiertarki, artykuły elektryczne, kufelarskie, gastronomiczne itd. Na wystawie czynne było także stoisko filatelistyczne, w którym można było kupić najnowszą serię znaczków i otrzymać okolicznościowy kasownik wydany z okazji wystawy, będącej niewątpliwie pięknym i naprawdę imponującym osiągnięciem naszego szkolnictwa.

Z okazji 15-lecia szkół artystycznych odbył się przegląd osiągnięć Podstawowej Szkoły Muzycznej w Lublinie. W występie w Filharmonii wzięli udział obok dzieci z Lublina uczniowie szkół muzycznych z Chełma i Zamościa.

Elżbieta Rosiak

„Teren“ pracuje

PRAPREMIERA W LUKOWIE. W dniu 21 maja odbyła się w Powiatowym Domu Kultury w Lukowie prapremiera sztuki Ludwika Hieronima Morstina „W słońcu”. Na szczególne wyróżnienie zasługują reżyser W. Rzączyński, który wiele pracy włożył w przygotowanie przedstawienia z zespołem teatralnym przy PDK i opracował ciekawy projekt dekoracji. Grali: Tadeusz Milewski, Janina Michałczyńska, Teresa Dudzińska, Halina Kilińczak, Henryka Walczak, Bronisław Orzechowski, Marian Konieczny i Gabriel Kilnik. Dekoracje wykonał Mieczysław Buziak.

SPOTKANIE Z PISARZEM W LUKOWIE. W dniu 25 maja w sali PDK odbyło się spotkanie z autorem książek lotniczych, uczestnikiem bitwy o Wielką Brytanię Bohdanem Arctem. Na wstępie popularny pisarz opowiedział o swoich losach w czasie II wojny i o losach polskiego lotnictwa, a następnie o swej pracy twórczej. Wnuk i syn zasłużonej dla polskiego księgarstwa rodziny Arctów, jeden z rycerzy podniebnych szlaków, spotkał się w Lukowie z bardzo serdecznym przyjęciem. Zasypano go pytaniami zarówno z dziedziny lotnictwa, jak i twórczości. Po spotkaniu autor podpisywał książki.

CIĘKAWY KONKURS W WOJCIESZKOWIE. Od jesieni ubiegłego roku staraniem kierowniczki biblioteki gromadzkiej Wandy Strzeleckiej zorganizowany został konkurs czytelnicy obejmujący literaturę popularno-naukową. W konkursie licznie wzięli udział mieszkańcy Wojcieszkowa. Największą popularnością cieszą się książki geograficzne oraz książki biograficzne i o sztuce. Zakończenie konkursu odbyło się wraz z zakończeniem „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. Zwycięzcom rozdano atrakcyjne nagrody.

A. A.

NIELATWA PRACA. W odległej lukowskiej wsi, dokąd nie dotarła jeszcze elektryfikacja, nielatwa jest praca kierownika szkoły i organizatora życia kulturalnego w środowisku. Te dwie odpowiedzialne funkcje społeczne spełnia w Anielinie jeden człowiek — energiczny organizator i oddany społecznik, Kazimierz Cenkała. Wydawałoby się, że przedstawiciele władz powinni przyjąć z pomocą takiej wsi i człowiekowi bezinteresownie oddanemu pracy społecznej.

W lukowskim jednak tak nie jest. Nie docenia się tu zbyt ni pracy społecznej ze środowiskiem. Na szkołę w Anielinie, która wymaga generalnego remontu, nie daje się podobno przewidzianych już kredytów. Natomiast planuje się budowę nowej szkoły we Wróblinie. Lokalizacja szkoły we Wróblinie jest ze względu na odległość bardzo niewygodna dla mieszkańców okolicznych wsi. Wystąpiono nawet w tej sprawie z petycją, zaopatrzoną już trzysiu podpisami. Nie uzyskano jednak oczekiwanego efektu. Należałoby tę sprawę jeszcze raz rozpatrzyć i wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Mimo tych trudności kierownik szkoły nie przerywa pracy ze środowiskiem. Wspólnie z kółem ZMW prowadzi ze-

spół teatralny, który w ciągu roku daje dwie lub trzy premiery. Ciekawy jest fakt, że praca zespołu nie ogranicza się w Anielinie do wystawiania sztuk teatralnych, ale w dużej mierze do uzupełniania wiedzy ogólnej członków zespołu.

J. Z.

MILANÓW W POWIECIE PARCZEWSKIM może się poszczycić bardzo dobrą publicznością. Każde przedstawienie amatorskiego teatru cieszy się tu wielkim powodzeniem. Tradycja amatorskich zespołów teatralnych sięga tu jeszcze lat przedwojennych. Zespół teatralny OSP pracuje pod kierownictwem Piotra Tutiaka. Ostatnio wystawiono w Milanowie „Meża z grzeźnością”.

Do Milanowa mógłby czasem zajrzeć i teatr im. Osterwy z Lublina. Spotka się tu na pewno z bardzo gorącym przyjęciem.

J. Z.

Z życia szkół lubelskich w maju i w czerwcu

Rokrocznie w maju odbywają się egzaminy maturalne, do których przystępuje młodzież średnich szkół ogólnokształcących i zawodowych, dorosli uczący się w szkołach wieczorowych oraz eksterniści. Jeśli chodzi o dorosłych, egzaminy odbyły się w 10 liceach na terenie Lubelszczyzny, a przystąpiła do nich imponująca liczba około 500 uczniów klas XI. M. in. w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących im. Karola Świerczewskiego w Lublinie dopuszczono do matury 121 osób. Była to już 12 matura w dziejach tej szkoły, której słuchacze rekrutują się spośród pracowników rad narodowych, milicji, KBW, FSC i szpitali. W Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących im. T. Kościuszki w Lublinie do egzaminów przystąpiło 53 osoby. A oto tematy prac pisemnych z języka polskiego: „Wartości ideowe i artystyczne poezji Jana Kochanowskiego”, „Idea walki narodowo-wyzwoleńczej w twórczości czołowych romantyków polskich” oraz „Dwie ojczyzny w powieści Leona Kruczkowskiego „Kordian i cham” i Wandy Wasilewskiej „Ojczyzna”. Oprócz wieczorowych szkół dla dorosłych do egzaminów maturalnych przystąpiły także licea korespondencyjne w Lublinie i Zamocisku, w których dopuszczono do matury ponad 200 osób. Co do szkół ogólnokształcących w Lublinie — w Liceum im. Unii Lubelskiej zdawało maturę 76 osób, w Liceum TPD nr 1 — 58, zaś w Liceum im. St. Staszica — 63 osoby. Również i w szkołach zawodowych odbyły się egzaminy maturalne. M. in. w 16 technikumach rolniczych na Lubelszczyźnie do matury przystąpiło ponad 300 osób.

Bardzo uroczyste obchodzony był przez dzieci lubelskich szkół podstawowych „Dzień Matki”. Młodzież Szkoły Podstawowej nr 20 zorganizowała na przykład spotkanie matek z dziećmi młodszymi klas. Przygotowano bogatą część artystyczną i wiele niespodzianek, nie mówiąc o kwiatkach i własnoręcznie przez dzieci wykonanych prezentach.

I czerwca, w dniu Międzynarodowego Święta Dziecka, odbyła się w Teatrze im. Osterwy akademii, w czasie której kurator OSŁ E. Zachajkiewicz zapoznał zebranych z dążeniami władz, zmierzającymi do tego, by jak najbardziej rozbudowywać i powiększać liczbę przedszkoli, dziecińców, świetlic i boisk, a także umożliwić jak najbardziej masowy udział młodzieży we wszelkiego rodzaju czasach i obozach letnich. W części artystycznej wystąpiło Ognisko Hulecowskie LDK.

W końcu maja br. odbył się w Piaskach koło Lublina rejonowy przegląd zespołów artystycznych, którego inicjatorami byli: PZGS w Lublinie i redakcja „Głosu Ziemi Lubelskiej”. W eliminacjach wzięło udział 5 zespołów ze szkół w Piaskach, Krapcu, Melwi i Swidniku Małym. Najlepiej śpiewał chór Liceum Pedagogicznego z Piask, zaś prym w tańcach wiodły zespoły z Melwi i Swidnika. Podobna impreza miała miejsce także i w Łęcznej, gdzie wystąpiło 10 zespołów.

Międzyszkolna grupa nauczycieli — członków ZMS przy Komitecie Miejskim w Lublinie zorganizowała spotkanie z mec. J. Wnukiem, który wygłosił prelekcję pt. „Losy dzieci w drugiej wojnie światowej”, którą wzbogaciły liczne zdjęcia dokumentalne.

Koniec roku szkolnego upływa, jak zwykle, pod znakiem wyraznego ożywienia pracy zespołów artystycznych, które pragną pokazać swój dorobek społeczeństwu. I tak np. w czerwcu w Saskim Ogródku wystąpiło 25 zespołów tanecznych, instrumentalnych i wokalnych z lubelskich szkół podstawowych. Na szczególne wyróżnienie zasłużyły zespoły ze szkół: nr 13, 17, 19, 24 i 31. Najlepsze zespoły wystąpiły jeszcze raz w czasie „Zakładny”.

Jeszcze jedna wieś lubelska rozpoczęła budowę szkoły — pominika Tysiąclecia. Dla uczczenia ludowego święta chłopcy z Guzówki (pow. krasnostawski) położyli w dniu 5 czerwca kamień węgielny pod gmach przyszłej szkoły, która dzięki zadeklarowanej pracy społecznej i pomocy państwa stanie jeszcze w tym roku. Za przykładem Guzówki poszli mieszkańcy wsi Zalesie i Sieniaszka (pow. lukowski) oraz chłopcy w Kostrach (pow. parczewski), gdzie również odbyły się uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod budowę szkół. Mieszkańcy Salomina (pow. kraśnicki) w tym samym czasie otrzymali już nowy wniesiony z funduszu społecznego budynek szkolny, do którego przeprowadziła się z baraku młodzież wraz z nauczycielami.

W muszli koncertowej w Lublinie występowały niedawno zespoły artystyczne z Chełma: zespół taneczny Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego im. S. Czarneckiego, orkiestra mandolinistów Szkoły Podstawowej Nr 4, zespół taneczny Liceum Pedagogicznego i zespół wokalnoinstrumentalny Wychowawczyni Przedszkoli (130 osób). Występy cieszyły się dużym zainteresowaniem, a zespoły zaprezentowały się z jak najlepszej strony.

Kuratorium OSŁ i Ekspozytura Centrali Wynajmu Filmów w Lublinie zorganizowały interesujący konkurs filmowy dla młodzieży szkolnej. Uczestnicy konkursu mu-

ANNA TATARKIEWICZ

„Pierwszy dzień wolności” odbywa triumfalny pochód po scenach polskich. Co teatr — odmienna koncepcja inscenizacyjna, co inscenizacja — nowe recenzje, analizy, interpretacje. Jak zauważono, interpretacje sztuki Kruczkowskiego są uderzająco, niekiedy zaskakująco odmienne. Świadczy to albo bardzo źle o recenzentach, albo bardzo dobrze o sztuce. Sztuka jest w istocie bogata, złożona, daleka od uproszczeń, schematyzmu, topologii — i dlatego można odczytywać ją i rozumieć na różne sposoby, wysnuwać z niej różne wnioski. Sam autor poprzez konstrukcję wydarzeń zajmuje jednoznaczne stanowisko wobec poruszonych problemów. Ale równocześnie zachowuje lojalność wobec własnych bohaterów, to znaczy dba o prawdę postaci i autentyczność sytuacji, nawet gdy mogą obracać się przeciw jego własnym teozom.

Sztuka Kruczkowskiego jest głosem w dyskusji o wolności i o humanizmie. Dramaturg chce ukazać historyczne, społeczne, psychologiczne granice jednostkowej wolności, pojętej jako prawo do wyboru postawy, do wyboru etyki, do wyboru sprawiedliwości. Kruczkowski maluje pewną postawę, poddaje ją próbie życia i sugeruje, że taka postawa musi ponieść klęskę. Postawa Jana to postawa liberalnego humanizmu. Dla Jana ludzie są przede wszystkim ludźmi, bez względu na sytuację, w jakiej się znajdują. Jan, uwolniony z niemieckiego obozu jeńckiego, pierwszy dzień wolności wyżykuje dla zaopiekowania się trzema córkami niemieckiego lekarza, którym w warunkach *no man's land* grożą jednoznaczne niebezpieczeństwa. Jan egzekwuje swą decyzję na przekór cporowi kolegów, z którymi wiązała go dotychczas wspólnota losu i uczuć, solidarność społeczna. W rezultacie

rozwoju wydarzeń. Jan strzałem do Ingi przypieczetowuje klęskę swej postawy i w pewnym sensie okupuje winę (bo nie obyło się bez ofiar).

Kruczkowski powiedział komentując swą sztukę: „Finał mówi, że odosobnione humanistyczne wysiłki w okresie antagonistycznych stosunków społecznych czy międzynarodowych kończą się często klęską”. Gdyby autor zamiast słowa „często” użył „zawsze”, stwierdzenie byłoby nieprawdziwe, ale zamykałoby dyskusję. Mówiąc „często” — do tej dyskusji zachęca. Bo jeśli humanistyczne wysiłki niekiedy mogą być uwieńczone zwycięstwem, to czy bodaj znikoma szansa owego zwycięstwa nie każe ich podejmować? Czy sporadyczne nawet humanistyczne zwycięstwa sumując się nie stają się czynnikiem postępu etycznego? Czy nie są jak by oliwą na zbyt wzburzone fale Historii?

A wracając do sztuki — czy klęska Jana jest najgorszą, jaką można sobie wyobrazić? Zastanówmy się, jak mógłby wyglądać finał sztuki, gdyby nie humanistyczna, czy jak kto woli, donkiszocka, niewczesnie rycerska interwencja Jana? Pewne wspomnienie, z którego od lat nie umiem się otrząsnąć, podsusza jeden z ewentualnych finałów. Działo się to w identycznych warunkach historycznych. W jakich umiejscowił swą sztukę Kruczkowski: w pasie przyfrontowym, gdzieś nad Odrą, wiosną 1945 roku. Z obowiązku dziennikarskiego jeździłam parokrotnie na te tereny, które wyglądały właśnie tak, jak w sztuce: wyludnione miasta, pośpiesznie opuszczone domy, tu i tam jakiś wylekziony Niemiec, transporty wojsk, trochę powracających — z obozów, z łagrów, z przymusowych robót rolnych. Byli tam ludzie różnych narodowości i w ogóle bardzo różni. Kolega z redakcji frontowej gazet „Zwycięzcy” pokazał mi pamiętnik pewnej młodej Niemki. Musiała to być dziewczyna typu Luzzi, która nie zdołała już w nic uwierzyć. Z pamiętnika wynikało, że wahała się — wyjeżdżać czy nie wyjeżdżać; ostatni zapis świadczył, że postanowiła zostać. Nie wiadomo dokładnie, jaki był dalszy tok wydarzeń. W każdym razie pamiętnik znalazł się w mieszkaniu, nieopodal zwłok wielokrotnie zgwałconej dziewczyny. Na udach trupa sprawcy pozostawili swe podpisy. Widocznie nie wydzierali się swego czynu, uważali go za moralnie słuszny, w „akcji” swej kierowali się rozmysłem i swoistą grupową solidarnością.

Taki właśnie mógłby być los Ingi, Luzzi i Lorchen. A wśród sprawców mogłoby się znaleźć koledy Jana. Paweł i Karol. Ten sam Paweł, którego w sztuce śmierć żołnierska niejako nobilituje, kreuje na bohatera, przyznaje mu słusność.

Kruczkowski w swej sztuce dyskusję z płaszczyzny ściśle intelektualnej i teoretycznej przenosi na płaszczyznę faktów, „Fakty — rzecz uparta”. Ale fakty (w sztuce oczywiście występują ich substraty) bywają różne i różne

z nich można wysnuwać wnioski. Dlatego też „Pierwszy dzień wolności” wydaje mi się nie podsumowaniem dyskusji, ale formułowaniem pewnych tez wstępnych, zaproszeniem do dyskusji. I że sztuka Kruczkowskiego otrzymała w naszym teatrze staranny, nieprzypadkowy, konsekwentny kształt sceniczny. Przede wszystkim należy się pochwalić scenografowi. Oprawa scenograficzna „Pierwszego dnia wolności” jest bodaj najciekawszym (przynajmniej z widzianych przede mną) dziełem Jerzego Torończyka. Scenografowi udało się trafić znakomicie w ton sztuki, dla której znamienne jest połączenie konwencji realistycznej z treściami intelektualno-universalnymi (a więc z treściami, które ostatnio spotykaliśmy raczej w odmiennych konwencjach). Tło piętrzących się jak koszmarna wizja drutów kolczastych wprowadza w klimat „czasów nieludzkich”; na tym dramatycznym tle powszednie rekwizyty mieszczańskiego wnętrza, zredukowane do minimum i podporządkowane jednolitej formule barwnej, srebrno-szarej, unikają szczęśliwie naturalistycznej natrętności. Scenografia wspiera z koncepcją inscenizacyjną — Marka Okopińskiego, który również „postawił” przede wszystkim na ogólnoludzkie i dyskursywne aspekty sztuki. Usuwając epizod z Grimmem inscenizacja lubelska zawiąza horyzont sztuki, ale tym silniej wydobywa zasadniczy nurt myślowy, sprawę Jana i jego klęski. Postać Jana nabiera przez to jeszcze istotniejszego znaczenia. W Lublinie Jana gra — Jan Machulski. Jan Machulskiego jest bardziej fantastą niż myślicielem, czyni jego płynną raczej z serca niż z rozumu, są sprawą raczej odruchu niż logiki. Osobiście wolałabym wersję bardziej intelektualną, niemniej jednak w ramach przyjętej koncepcji Machulski dał sylwetkę w pełni przekonującą i konsekwentną. Obok Jana dzięki odtwórcom najplastyczniej zarysowują się postacie Michała i Pawła. Stanisław Mikulski jest znakomitym, męskim, powściągliwym w ujawnianiu uczuć Michałem; Marian Drozdowski bezbłędnie wygrał kipiącą młodocię, beztrzęsą i pewną trywialność Pawła. Zrównoważonego Hieronima trafnie odtworzył Andrzej Chmielarczyk. Henryk Gońda w postaci Karola znalazł chyba najlepszą ze swych ról. Aleksander Aleksy doskonale uchwycił profesjonalny ton lekarza, pedantyczną pryncypialność Niemca, czlowięka zastraszonego, a zarazem dramata człowieka dotkniętego w najgłębszych uczuciach. Nie wydaje mi się natomiast słuszną koncepcją Anzelma, jaką przedstawił Lech Skolima.

(Dalszy ciąg na str. 4)

Przedmowa i wstęp dopełniają się wzajemnie. Wolski mówi o źródłach Swetoniusza i o jego stosunku do wymienionych źródeł, o znaczeniu biografii „cezarów” na tle epoki i o jego recepcji u potomności. Pliszczyńska starannie zestawia i wykorzystuje wzmianki o Swetoniuszu w listach Pliniusza Młodszego, rzuca w przystępnych słowach trafne uwagi o biografii antycznej jako o gatunku literackim i o artyzmie biografii Swetoniusza. Oba wstępy adresowane są do szerszej publiczności, nie można uważać ich za monografię o pisarzu, ale nie leżało to w zamiarze ani tłumaczki, ani wydawnictwa. Wypełniają one łącznie 18 stron druku, gdy przekład z komentarzem zajął 350 stron.

Przekład Pliszczyńskiej czyta się gładko i z zainteresowaniem. Tłumaczka uczyniła z dzieła pisarza rzymskiego intrygującą czytelniczką powieść historyczną. Wyraziste rysy cesarów, trw. specjes, przemawiają do czytelnika nie tylko w tych partiach, które autor przeznaczył na charakterystykę, lecz i w tych, w których Swetoniusz opowiada długo, zajmująco, nie przebiegając w słowach, o okrucieństwie cesarów.

Słynne swetoniuszowskie *Hactenus de principe, reliqua et de monstro narranda sunt* — rozpoławia nie tylko żywot Kaliguli, lecz — w nieco zmodyfikowanych słowach — żywot Nerona. Tyberiusz rozpoczyna długi szereg cesarów-terrorystów, znanych z rozpusty, z sadyzmu, z wyrafinowanych morderstw i z potworności. Toteż od straszności Tyberiusza, Kaliguli, Nerona, Galby, Otona, Domcjana chlubnie odbiegają władcy rozumni, opanowani, obdarzeni geniuszem wojskowym czy władczym. Swetoniusz powtarza przy ich imionach przydomek *Divus* — Boski. Ale wydobywszy i u tych władców sporadyczne okrucieństwa, z uśmiechem wytkamy u starożytnego biografii o „niezwykłej łagodności” Juliusza Cezara.

Swetoniusz jest autorem znany dotąd jedynie w oryginale, toteż czytali go filologowie i historycy starożytności. Inni poznawali go tylko w wyjątkach cytowanych w *Historii Rzymu* Piotrowicza czy Zielińskiego Cesarstwa Rzymskim. Jedyny istniejący przekład polski Kajetana Kwiatkowskiego (Wrocław 1826) jest już dzisiaj nieczytelny. Toteż zasługa Pliszczyńskiej w spopularyzowaniu rzymskiego autora jest naprawdę duża. Przeciwny inteligent zna tylko ogólnie nazwiska cesarów i najważniejsze fakty historyczne. Dzięki przekładowi Pliszczyńskiej wszystkie arkana dzieł Rzymu w pewnym okresie dotrą do szerokiego kół.

Przekład Pliszczyńskiej zasługuje na ocenę dokładną, której z pewnością nie posiadają filologowie klasycyści. Tu wystarczy pokrótce stwierdzić, że przekład jest gładki i wykazuje wartości literackie: w drobnych tylko miejscach zawiera potknięcia.

Zdarza się, że tłumaczka jedno zdanie względnie niezależne od drugiego względnie, np. (s. 39) „ustawę, mocą której zabieg obywateli... który nie odbywa właśnie starby wojskowej, nie może pozostawać poza granicami Italii...” Rozbieżność długiego złożonego zdania łacińskiego na kilka zdań polskich (zgodnie z duchem naszego języka) doprowadza czytelnika do zaporowania o tym, że rzeczownik, o którym mowa, wymieniony został za daleko, by uprawnione było użycie zaimka na jego określenie. Tak jest na s. 288 z głową Galby. Po stwierdzeniu: „... żołnierzy (...) odepł Galbie głowę...” następuje zdanie, w którym jest mowa o „... w łonach, i o ustach, i o kieliku, i o...” Zdanie trzecie z kolei zaczyna się od słów: „Ten (Oton) darował ją marceletonom i ciurmom obozowym...” Swetoniusz pisze po łacinie, ale obficie wplata greckie cytaty, na ogół krótkie.

Tłumaczka niekiedy i zachowuje wyraz grecki w oryginale, innym razem tłumaczy po polsku, dodając cudzysłów lub nawet nie wyodrębniając zwrotu graficznie. Wskazana byłaby tu jednolitość: najlepiej zachować w tekście głównym wyrazy i zwroty greckie, podając w przypisach ich tłumaczenie polskie.

Komentarz jest rezultatem studiów sumiennych i erudycyjnych. Jako wielki walor komentarza należy podkreślić stałą praktykę konfrontowania informacji podawanych przez Swetoniusza z Plutarchem (*Żywot Cezara*), z Tacytem, a niekiedy z innymi historykami starożytnymi. Objasnienia podane przystępnie są na ogół wyczerpujące i wątpliwości u czytelnika nie budzą.

Wyjątkowo nie zadowala notka o Cyceironie (s. 9), w której wylizano jego dzieła wyłącznie filozoficzne, pomijając inne. Można by również wytknąć komentatorce brak objaśnień w paru miejscach — ale na pewno tylko w paru — wolających o przypisy. Tak np. wzmianka o twórczości literackiej Augusta (s. 114) zasługiwałaby na wyjaśnienie, co to była za „twórczość”. Należałoby absolutnie opatrzyć komentarzem te wszystkie miejsca, w których Swetoniusz powołuje się na innych autorów. Tak więc nie należało zostawić bez komentarza zdania: „Korneliusz Nepos podaje... (s. 111)”, „większość autorów podaje...” (s. 288), „różni pisarze podają...” (s. 298). Doskonale wzór takiego rodzaju przykładów daje Pliszczyńska na s. 206, gdy zdaniu o matce Witelliusa, zaczynającemu się od słów: „Inni znowu podają...”, towarzyszy przypisek: „Pięknie pisze o matce Witelliusa Tacyt (*Hist. III 67*).”

We wstępie jedno sformułowanie jest lapsusem: przy końcu s. XVI winno być: „Książki sześć (nie osiem) obejmują żywoty dynastii julijsko-klaudyjskiej (...)” — dalej mowa osobno o książkach VII i VIII.

Wszystkie te zastrzeżenia, dotyczące zarówno przekładu jak i komentarza, są zastrzeżeniami drobnymi, pozwalającymi przyjąć całe dzieło jako pozytywne i udane.

Pliszczyńska napisała we wstępie: „Pliniusz Młodszy, Tacyt i Swetoniusz stanowili triumwirat literacki oparty na związku żywej przyjaźni...” Owemu triumwiratowi oddała autorka słów przytoczonych kilkanaście lat pracy. Tacytowi poświęciła dysertację doktorską napisaną w seminarium prof. Przychockiego w Uniwersytecie Warszawskim, a następnie doskonale opracowany wybór dla liceów, Pliniuszowi — łacińską pracę habilitacyjną przyjętą przez prof. Kumanięckiego w UW pt. *De elocutione Pliniana* — rzadką na naszym gruncie rozprawę o stylu pisarzy antycznych. Swetoniusza wprowadziła w pięknej polskiej szacie do szerokiego kręgu czytelników.

Jerzy Starnawski

* *Gajusz Swetoniusz Trankwilius: Żywoty Cesarów. Przełożyła, wstępem i komentarzem opatrzyła Janina Niemirska-Pliszczyńska. Przedmowę napisał Józef Wolski. Wydanie II zmienione. Wrocław 1960, Ossolineum.*

NAD MORZEM

Wieczny przyplusk i odpłusk. Był zawsze i będzie. Fala żąda nabrzmiała o brzeg bije pianą, by zatrzeć swój odwrot i znowu w obłędzie uderzyć o wybrzeże piersią skolataną.

Czy wierzy, że zwycięstwo ją jednakże czeka, że kiedyś ład zdobędzie, choć się wstecz porusza? I czemu oczy twoje bza nagle powleka? Ucz się tego uporu: jest piękny i wzrusza.

Cóż z tego, że niesyta jest, że ciągnie w mrok wieczne przemian pragnąca żywicielka — ziemia. Nie strasza przecież dla nas jej oszczędna chemia, co z martwych dla żyjących wciąż przetwarza sok.

W retorcji jej zasyczy, wiem, i nasza kość i krew odmieni barwę w liści chlorofyllu. Przed nami tu się snuło wczoraj ludzi tyłu i każdy na tej uczcie był przelotny gość.

Materia — niezniszczalna: przetrwa każdy atom i przyda się motyloom, obłokom i kwiatom i uśmiech nasz przekażem uśmiechowi róż.

A nasze ja? Uczucia? Radości i smutki? Zostaną w wierszach, listach i pamięci krótkiej. A jednak mimo wszystko: żyj, pracuj i twórz!

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Listy muzyczne (III)

ZBIGNIEW WIELICKI

Droga Pani.

Anty się spostrzegłem, a tu już sezon koncertowy dobiega końca. Niby więc powinieniem ocenić, wyciągnąć wnioski, ale — na cóż zda się moja pisanina, kto to czyta? A ci, którzy nawet czytali — odczytywali błędnie. Czula się dotknięta Orkiestra naszej Filharmonii, że znowu ktoś (i to kto...) psy na niej wieszka, ale w którym to miejscu ujadalem? Krzywił się na mnie za napad na wykonaniu „Rapsodii” Enescu dyrektor Filharmonii, p. Cwojdziański. Nie umiał mnie jednak przekonać, że to nie był kicz. Nikt, nigdy i od dawna nie zechciał mi wyjaśnić, kto te kicze na estradzie wprowadza, boć pewne jest, iż artyści przysyłają swój repertuar z góry do wyboru. Sam Enescu nie mógł się bronić, bo zmarł w 1955 r. Ale ten wielki i zasłużony artysta nie musiałby się oczywiście bronić przede mną (!), bowiem lepiej ode mnie wiedział, że kicze pisał Beethoven, że kiczów nie pisał chyba tylko genialny archanioł Wolfgang Amadeusz Dyr. Cwojdziański mówił, że najlepsze orkiestry i najlepsi dyrygenci to grają i nagrywają. To prawda i potem z tych kiczów korzystają radiofonie całego świata. Polskie Radio też, bo ma na to czas, ale nie ma czasu żadna filharmonia (oprócz bukareszteńskiej), bo ma kicze własne. I oto wieczne zagadnienie koncertowe: program. Opowiadano mi, że w czasie swego ostatniego w Polsce pobytu Artur Schnabel uległ prośbom melomanów i muzyków i zgodził się zagrać w Warszawie Brahmsa koncert fortepianowy B. Uległ prośbom? Wbrew życzeniu dyrekcji filharmonii? Ostatni raz grał go w Warszawie w 1924 r. A czemuż to nie grał go teraz w Krakowie i Katowicach? Przecież gdyby to ode mnie zależało, to grałby na jednym wieczorze dwa razy. Jest jednak inaczej. Program narzucają jakieś figury zakulśowe, a i członkowie orkiestry podobno i niestety mają jakieś wpływy. Niechże odezwą się te „RADY ARTYSTYCZNE”, co plotą w kółko o dewizach, o nutach, o Millennium i niech mi u licha powiedzą, jak to jest wreszcie, że oprócz Smendzianki i Żmudziańskiego oraz Wilkomirskiej Wandy (bo Kazimierz przecież do Hindemitha nie zabierze się), przestraszone wszystkich polskich pianistów i skrzypków tak, że nie chcą się niczego nauczyć. Po wykonaniu po raz pierwszy w Lublinie (a to bezczelnie i kochani śmiałkowie) i koncertu skrzypcowego Szymanowskiego, p. Wronski — tak się jakoś zgadało — jak by mnie (sobie, sobie przede wszystkim) obiecał, że zagra koncert skrzypcowy Berga, więc zobaczymy, czy mu to ktoś oprócz WOSPR puści.

Ze drżeniem będę czekał na wyjaśnienia, nawet tętnę. Czekam przecież od lat. Od lat drzę, gdy zapowiadają występ Czerny-Stefańskiej. Drzę, że będzie grała koncert Griega. Rubinstein przecież też gra. Otóż p. Czerny-Stefańska opowiadała kiedyś jeszcze w krakowskim „Ruchu”, że jako odbiorca jest wielką zwolenniczką muzyki współczesnej, ale jako odtwórca woli się do tego nie brać. A mnie osobiście wyjaśniła, że i na Brahmsa jest za wcześnie. Za wcześnie! Po jedenaście latach? Więc zaczekajmy, aż przyjdzie do nas Pollini, tylko co mu wtedy każą grać? Ach, wiemy, wiemy.

Ale coś się zaczęło ruszać (adagio e molto grave) w „Ruchu Muzycznym”. Zaczął się najazd na młodych krytyków o czterech twarzach, czyli bez żadnej. Jest o tym cały artykuł, krytyk tylko jeszcze się nie znalazł. Piszę więc i ja, proszę Pani. Piszę, bo

inni — powołani i z tego żyjący — nie piszą, albo też piszą niewłaściwie. Od prawie trzydziestu lat pragnęłam usłyszeć z estrady koncertowej „Święto wiosny” Strawińskiego, a rozmyślnie wracam do tematów poruszanych już przeze mnie. Kilka tygodni temu dyrektor Filharmonii Śląskiej, Stryja, zawiadomił mnie, że wykonanie dzieła Strawińskiego zależy od zwiększenia zespołu, zdobycia nut i dewiz. Aż tu nagle, wbrew zapowiadanej programowi, wbrew milczącym dziennikom i krytykom, bez ogłoszeń, dowiedziałem się, że dyrektor Filharmonii Łódzkiej gra ze swoją orkiestrą w Warszawie właśnie „Le sacre du printemps”. Dowiedziałem się w dniu koncertu... Przez cały następny tydzień kupowałem cztery dzienniki warszawskie, które dotychczas informowały zawsze i codziennie o chopinowskim meatingu. Ukazała się w tym czasie jedna tylko recenzja, omawiająca wszystkie poprzednie koncerty, oprócz występu dyr. Czyża z Filharmonią Łódzką. Nagrodzony autor tłumaczył, że ostatnio było tyle wydarzeń politycznych i sportowych. Jak Pani wie, ZSRR narzął naszych piłkarzy, w Chile — kataklizm, pierwszy polski szablista został zawieszony, a Eichmann siedzi. Neurologia opisuje pewne zjawisko pod pięknie brzmiącą nazwą: amuzja.

A u nas były uroczyste koncerty jubileuszowe z powodu piętnastu już lat istnienia Filharmonii Lubelskiej (26—29 V). Gdybym miał zwyczaj warszawskie, to bym milczał. Ciszę po Strawińskim rozdarł tylko jeden okrzyk zgrozy, żeby, broń Boże, przyszej nowej Operze w Warszawie nie pozwolić na granie „Elektry” czy „Salome” R. Straussa. Jakież więc środki antykoncepcyjne proponuje ten warszawski k.o.: „Stara baśń” Zeleńskiego czy „Ijole” Rytla? Ale muszę Pani opowiedzieć jaki wspaniały był u nas komitet honorowy: dyrektorzy, prezesi... Tak pisałem w lubelskim dwutygodniku „Światło” z dnia 15 lutego 1946 r.: „(...) Jeszcze więcej mielibyśmy do powiedzenia tym, którzy tyle hałasu wyczyniają dokoła modnego dziś słowa deprecjonującego się, niestety, coraz bardziej: upowszechniania. Ani razu bowiem nie widzieliśmy na koncertach robotników, niewiele, bardzo niewiele młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej. Zresztą i nie dużo tzw. inteligencji pracującej (...). Stanowczo nie wystarcza emfaticzna pisanina (...) nie wystarczy luby szumek w łonie „komisyj” kulturalno-oświatowych. Zapytajmy konkretnie: Ile biletów wykupują każdorazowo nasze stronnictwa polityczne od PPR i PSL, ile Związki Zawodowe, ile dyrekcje fabryk, ile Kuratorium i szkoły, ile Kuria Biskupia i kościoły dla swoich organistów i chórow, którym przydałoby się posłuchać trochę dobrej muzyki? Czaszy serenał skłoniły się orkiestra i solista do nikogo pod okna chodzą nie będą. Ich miejsce gdzie indziej. Nasze — na sali koncertowej. Tylko tam możemy się spotkać.

A jakże, było czterech redaktorów z obu dzienników lubelskich. Nie, z „Kamery” nikogo, po co, Pani i ja chodzimy przecież od czasu do czasu na koncerty nieuroczyste. Ale tym razem ja nie byłem. Jubileusz — uroczystości — nuda. Noskowskiego „Step” Wieniawskiego Koncert skrzypcowy d, arie Moniuszki i Nowowiejskiego i Karłowicza „Epizod na maskaradzie”. Trudno, po to są jubileusze, a ja nie jestem recenzentem i nie muszę. Miałem jednak w rękę jubileuszowy drukowany program uroczystości, który pozostanie dokumentem. Wszystkie imiona i nazwiska członków komitetu honorowego podano bez jednego błędu. Ale za to ile błędów w zestawieniu nazwisk granych kompozytorów i w ich utworach. Zamiast Gounod — „Gounod”, zamiast Dohnanyi — „Dohnanyi” itd. Mniejsza o to, że Małcużyńskiego umieszczono pośród zagranicznych pianistów. Mniejsza z tym, że zestawienie nie objęło w ogóle tak często granego Czajkowskiego, de Falli, a nawet dyrektora Filharmonii — Cwojdziańskiego, że nie znalazłem w nim kilku ciekawych utworów, że dużo w nim błędów i niedokładności. Gorzej jednak, że z zestawienia tego dowiedziałem się, iż w Lublinie wykonano Bairda „Cztery eseje”, Prokofiewa VII Symfonię i I Koncert fortepianowy,

(Dokończenie na str. 8)

„HOTEL” pod MALWA

MIROSLAW DERECKI

„Modlmy się bracia grzeszni, bo nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdzie godzina Sądu” — zakończył dziadzia Mamalygina.

„Amen” odpowiedzieliśmy. Panna Michelle znużonym głosem odezwała się z kąta: „Nie ma Boga. Wiem dobrze. Byłam w klasztorze”.

Wiedzieliśmy, że nie ma Boga, ale też właściwie nie zastanawialiśmy się, czy jest, czy Go nie ma. Nikt nie odczuwał potrzeby jego istnienia. W ogóle tego rodzaju sprawy mało nas interesowały. Zresztą panna Michelle miała forszę, więc mogła sobie pozwolić na pewne wychylenia. Dla nas zaś najważniejszą sprawą było takie ustalenie dziadzi Mamalygina, żeby miał do nas zaufanie i pozwolił choć jeszcze jedną noc przespać się na kredyt. A dziadzia Mamalygin był pobożny.

*

A było to tak: Akurat byliśmy wtedy z Józia artystami i mieszkaliśmy w małym hoteliku „Pod Malwą”. Nawet malwa na szyldzie, dzieło plastyka Buffo, była jakaś bardzo mała i może dlatego nie było jej widać. Tylko jakieś plamy. Dziadzia Mamalygin strasznie się złościł na plastyka Buffo. „Gdzie ta malwa, co ty ja miał namalować — wrzeszczał — za co ty spał przez trzy noce za darmo...”. I groził, że go wyleje na złoty łeb z hotelu. A plastyk Buffo udawał, że jest z tego szyldu bardzo dumny.

Więc już chyba wiecie, o co chodzi. Hotel „Pod Malwą” był własnością starego raskolnika, dziadzi Mamalygina. Dziadzia był cholernie pobożny, a my u niego mieszkaliśmy. Jak już nie mieliśmy ani grosza na nocleg, szliśmy do hallu, gdzie dziadzia Mamalygin codziennie o zachodzie słońca odprawiał modły.

Kłękaliśmy, biliśmy się w piersi i żegnaliśmy dwoma palcami. („Trzy palce tworzą figę, więc jakżeż bracia kochani, żegnaj się w ten sposób, toż to świętokradztwo”).

Później dziadzia wygłaszał kazanie o tym, że zawsze trzeba być dobrym, pomagać bliźniemu, i straszyl mękami piekielnymi. Tego zazwyczaj słuchało się także na kolanach. Na zakończenie mówiliśmy „amen”. I przynajmniej jedną noc można było spać na kredyt. Ilość modlących się nigdy nie była jednakowa. Przychodzili tylko ci, którzy akurat nie mieli pieniędzy. Plus panna Michelle. Ona przychodziła zawsze, choć zawsze miała pieniądze na nocleg.

Oglądała co wieczor darmowe przedstawienie. Bardzo lubiła teatr. My z kolei, bardzo lubiliśmy pannę Michelle, pomimo, a może właśnie dlatego, że była zdrowo stuknięta. Niedawno uciekla ze szpitala wariatów i mieszkała na lewych papierach. Była to zupełnie miła starsza pani. Miała tylko przykrą wadę. Ciagle zdawało się jej, że przyjdą po nią w nocy sanitariusze i zabiorą z powrotem do szpitala. Nie spała po nocach, żeby zawsze być gotową do ucieczki, i tłukła się po hallu. Zresztą nawet to nikomu nie przeszkadzało. Tym bardziej, że wszyscy mieszkańcy hotelu, tworzący jak gdyby jedną wielką rodzinę, często przesiadywali do trzeciej, czwartej nad ranem w hallu, rozmawiając i grzejąc się przy Ogniu Piekielnym. Na polecenie dziadzi Mamalygina namalował go plastyk Buffo i nazwał Kompozycją IV.

My z Józia śladywaaliśmy zawsze w kąciuku. Obserwowaliśmy wszystko, bo byliśmy artystami. Artyści muszą obserwować...

Józio był artystą fotografikiem, z zawodu spawaczem wysokościowym. Ja byłem artystą literatem, a z zawodu także artystą literatem, więc nigdzie

nie pracowałem. Józio zresztą też nigdy nie pracował. Był przecież artystą fotografikiem. Miał nawet aparat Voighlander-Bessa 9x12. Tylko mu trochę zdjęcia nie wychodziły.

Codziennie rano biegliśmy na poszukiwanie tematów. Ale że w mieście naprawdę nie było nic godnego uwagi, więc koło południa spotykaliśmy się jakoś przypadkowo w kawiarni i tak siedzieliśmy. Potem pożyczyciło się łóżkówkę i kupowało trzy papierosy. I już było co palić.

Właściwie, zupełnie przyjemnie się żyło, bo jakoś tak wszyscy uważali nas za zupełnie zdolnych gości, którzy nie mają tylko pola do popisu i w ogóle...

A pracować zarobkowo nie mogliśmy, bo nam nie tyle chodziło o pieniądze, ile o stanowisko, na którym można byłoby coś zdziałać. Te były zajęte przez kilkę ludzi niepoważnych.

Teraz to wcale nie kpię, ale my naprawdę wiedzieliśmy, ile jesteśmy waro... Klika nie zauważała nas, pomijała przy bankietach i większych ochłajach. Cholernie nas to boleło. Może właśnie dlatego z dnia na dzień odkładaliśmy nasze plany.

Oczywiście często, jak to się mówi, nachodziły nas złe dni, kiedy wiedzieliśmy z całą pewnością, że nigdy nie z nas nie będzie, bo jesteśmy tak samo niepoważni, jak tamci na stanowiskach. Ale swoją drogą byliśmy przynajmniej dumni z tego, że oni nie dostrzegają swej marności, a my swoją widzimy i my cierpimy.

Właśnie któregoś takiego dnia Józio zbuntował się. Zrobił mi awanturę. Wrzeszczał, że to ja jestem wszystkimu winien, że ja namawiałem go, żeby został artystą, chociaż, jak Boga kocham, to on mnie namawiał na artystę. Pożyczył jakieś świętstwo, zaswejsował nim ten cały swój aparat fotograficzny na amen i powiedział, że on już nigdy w życiu nie będzie artystą. I wyjechał do Szczecina, gdzie z miejsca zrobili go budowniczym.

*

Jak już mówiłem, całe towarzystwo zbierało się wieczorem przy IV Kompozycji. Strasznie były ciekawe typy z tych ludzi i bardzo ciekawe historyjki opowiadali.

Jak Józio został tym budowniczym, okropnie mi się nudziło, więc zacząłem im się przysłuchiwać, a nawet brać udział w rozmowach. I raptem nie tylko mnie pewnie Opatrzność natchnęła, — postanowiłem napisać o nich opowiadanie. Taka mnie złość wzięła na siebie, że tylko siedzę i nie nie robię!

*

Pod trójką mieszkała Flanela, prostytutka z synem Nugatem. Nugat to był lepszy gość! Nic tylko pisaniki malował. Matka wyganiała go z pokoju i mówiła: „Ty byś tylko tu siedział i jakka mazał, a ja na chleb muszę pracować! Osobnej pracowni nie mam!”. Nugat siedział w tedy do panny Michelle, żeby mu bajki opowiadała. Albo siedział w kawiarni i ogrywał gości w pokera.

W tym czasie Flanela przyjmowała u siebie panów, ale tylko żonaty, a później latała za nimi i wołała: „Dajesz trzy stopy, albo napiszę list do żony...”. I płacił.

Do nas to by się Flanela nigdy tak nie odezwała. Ona była porządną kobietą i do tego drogią, z dyplomem honoris causa w Barcelonie, a nie jakiejś polskiej pipidowce... Tak przynajmniej mówiła.

Na drugim końcu korytarza, pod ośmiem, sypiał Radca Rudolf z plastykiem Buffo, Radca Rudolf był starym zbereźnikiem i nigdy nawet nie zaklął. Tylko jak plastyk Buffo już go tak bardzo, ale to bardzo zdenerwo-

DYSKUSJA O WOLNOŚCI — OTWARTA

mowski. Anzelm w jego ujęciu budził politowanie i śmiech, a tymczasem postawa Anzelma jest aspołeczna, ale przemyślana, na pewno nie głupia ani nie śmieszna. Zgodnie z porządkiem programu, na koniec pozostały panie. Jeśli idzie o lubelską Inę, nie ma tu mowy o jakiejś patologicznej niena-

wiści, której dopatrzył się w tej postaci niektórzy recenzenci wcześniejszych spektakli. Inga, okrutnie skrzywdzona, czuje się zmuszona do nienawiści, chce być w tym uczuciu konsekwentna, nie chce też budzić współczucia tylko nienawiścią, stąd jej ostateczna, pełna determinacji, samobójcza decyzja. Halina Machulska w zasadzie trafnie zarysowała sylwetkę Ingi, mimo że czuje się pewnie niedoświadczona wewnętrzną postacią. Rola Luzzi interesująco, inteligentnie zagrała Teresa Szmigielówna (miałabym tylko pewne zastrzeżenia co do charakterystyki). W ujęciu Szmigielówny akcent padł nie na przedczesną kobiecość Luzzi, lecz na dotkliwą pustkę

wewnętrzną, poczucie osamotnienia, przed którym dziewczyna szuka dostępnego sobie ucieczki. Miłym i wcale „poradnym” scenicznie zjawiskiem okazała się oznaczone w programie** odtwórczyni Lorchen.

„Pierwszy dzień wolności” zamyka tegoroczny sezon. Może nie najszczęśliwiej się stało, że ten utwór o dużym ładunku myślowym trafił właśnie na okres kanikuly. Ale po lecie przyjdzie jesień, jesienią sztuka wróci na scenę i na pewno odniesie zasłużony sukces oraz wzbudzi pożądany ferment intelektualny. Nie wątpię, że pierwszy powakacyjny „poniedziałek teatralny” poświęcony będzie dyskusji nad „Pierwszym dniem”.

A skoro już mowa o lecie... Jak wiadomo, wówczas to właśnie na rynku teatralnym odbywają się „targi na ludzi”. Miejmy nadzieję, że w tym roku nie postradamy nikogo z naszych znanych i lubianych artystów, a zyskamy parę nowych talentów. Może też moglibyśmy odzyskać niektóre utraczone? Na przykład Balcerzaka, który właśnie jako Anzelm z „Pierwszego dnia” odniósł w Bydgoszczy piękny sukces? Na przykład utalentowaną scenografkę, Teresę Targońską, która, nie wiem dlaczego opuściła rodzinny Lublin dla nie tak znow atrakcyjnych Kielc i zbiera dla tamtejszego teatru pochwały, które mogłaby zbierać dla naszego?...
Anna Tatarkiewicz

Kompozycja bez krzyku

STANISŁAW JAN ROSTWOROWSKI

Janowi Lechoniowi

Czwarte piętro mojego widzenia jest świat zamknięty, gdzie nie ma wyniosłości ani nizin. Jest to zatrzymanie wzroku po prawej uciepione do płaszczyzny. Pomarańczowość ściany idąca w górę, aż tam gdzie gzymsy. Byłyby niepotrzebne, gdyby pionowość rynny nie szła w dół, może ku ziemi? Całość czyli przestrzeń jednolitego koloru, albo wszelki brak otworów, to powracanie głosu wydanego kamieniom bez wyjścia. Bo skoro nieuzasadniony pozostaje brak początku i nie wiem, czy rozumny jest wysiłek w górę, gdzie nie widzę końca...

Po prawej zatem nie ma uciepienia, bo ze względu na zygzak zapytania, który się wyrzył przez zatrzymanie czasu moich spojrzeń, albo który jest nawet jak mnie nie będzie, nie mogę się oddawać łagodności wygiętych linii, szukający. Po lewej stronie też nie wiem, ale już mogę przypuszczać, że dachy opadające na głowy ludziom, nie wiedzącym ażeby mogli mieć pytania. Nie rozstrzygam tego, że okna z profilu zbite jak barany, mogą dla żyjących być obecnością, albo stanowić związek naturalny z tym co w dole. Bo jeśli by nawet tak było, to dlaczego nie ma żadnej głowy wychylonej? Zresztą to nie dla mnie, bo z mojego okna wabi mnie pochyłość dachów śliskich, jak pokrycie stogów siana, a jednak rosnących wysokością w szukaniu nieba. Tylko że łagodne opadanie dachów ma występy kominów, z których dym rozrywany przypomina o tych, co walczą grzejąc przy kominach potrzebę wytrwania. Ale z dymu, jak i z rynny, nie mogę sądzić, bo nie widzę. Nie jestem przy kominach i przecież nie wiem, choć i poprzednio deszczowa woda spłukana rynną może lecieć do właderka podstawionego w przyspieszonym oddechu dziewczyny dla umycia głowy. Ale teraz, gdy już jestem na czwartym piętrze, nie mam prawa wszystkiego wiedzieć. Tylko interesuje mnie, dlaczego nawet na dachach są okna wychodzące i co znaczą giętkie wtki anten. Nie mogę się w tym wszystkim odszukać. Czyżby ci, co są gdzieś pod mną, nie mogli żyć bez widzenia i bez głosów, które im skądś przynosi przestrzeń nieba?

„Wychodzę jeszcze na wyniesienie otoczone balustradą”. Ludzie wynieśli ją ponad dachy, chyba dla zbytku drapiących się w górę wysokości. Lecz teraz nawet tego nie rozumiem. Dla mnie opalenie się wśród masztów anten nigdy nie było przeznaczone, skoro obdarzono mnie już na początku specjalnym dźwiękiem srebrnej lutni. Ale jeśli by przyjęła inną ewentualność, że balustrady mają wstrzymywać tych, co się patrzy w dół... Chłodne to jest, prawie tak jak by było. Ale czemu to przypisać, że do mnie, który na czwartym piętrze pozostał wydziałony, wciąż przychodzą te pytania. Może rzeczywistość, jeśli by zgodnie z doświadczeniem, tam w dole musi być ulica i idą-

cy na mszę, albo taksówkami strzeżący się katastrof. Ale na tej wysokości, bardzo wydzielonej układem płaszczyzn murowanych, nie znajdzie mnie przerażony krzyk takich, co pozostali... w życiu. U mnie jest tylko opadanie kropel deszczowych. Jakie ciche. Aż dziwię się, że pomyślałem, by wejść tak wysoko i tu właśnie odszukałem ciszę. Jest co prawda krzyk wron kołujących, lecz nie jako zakłócenie, tylko zapowiedź, że zaraz wrócą, pewno ku ziemi... Może to dziwne, że one właśnie tak, że tyle razy wyrwały się lotem, pchane prawem natury, jak ci, którym nigdy nie starcza samo oglądanie chmur. A jednak wracają, aby pazury uciepione, jak wracają pytania i mnie tu okolicy w ciszy kompozycji ścian bezdusznych, między niebem a ziemią, gdzie nie ma już krzyku, tylko opadanie kropel, milcząco odliczanie czasu.

Nicuję tę niewielką przecież odległość; musi być między tym, co jest pozornie i tym, co jednak jest naprawdę. Tylko że tu, gdzie ostatnie oczekiwanie — wiem, że gdy wyjdę poza balustradę i oddam się temu łagodnemu opadaniu kropel, to na tej wysokości na pewno już nie usłyszę własnego krzyku.

Wszyscy ludzie

W moim pokoju jest tak bardzo cicho. Wciąż przychodzą wszyscy ludzie i mnie namawiają. Mówią jak to nie rozumiesz, naprawdę nie możesz pojąć, że to jest takie ważne? Musisz być z nami, nie uchronisz się. Tu jesteśmy i robimy to wszystko co trzeba. Nie można odstawić flakonika z kwiatami pod stół. Ach ktoś tak zrobił, ale to przez śmieszność. Ale ty nie możesz być śmieszny, my możemy ciebie zatrudnić. Nie dlatego abyś był nam potrzebny, tylko tak po prostu jesteśmy dobrzy i w jakiś sposób chcemy ci pomóc. Jeśli wszyscy ludzie są zadowoleni z siebie, to mi grozą mówiąc: skoro odrzucisz naszą pomoc, to postąpisz tak źle, że już bardziej nie można. Będziesz bez nas, a chyba rozumiesz, co to znaczy...

Gdy oni mnie namawiają, albo zbyt długo wachają kwiaty z mojego nocnego stolika, to zaczynam się bać wszystkich ludzi. I wtedy staram się uciec z pokoju przez dziurkę od klucza. A oni robią polowanie na mnie, dotykają mnie i mówią: „Mamy cię, już nam nie uciekniesz. Ale cię złapaliśmy, nawet nie myśleliśmy, że tak się nam to uda”. I bawią się moimi nogami, moim brzuchem, moim nosem. A to wszystko dlatego, że ja źle postępuję. Nie trzeba przejmować się wszystkimi ludźmi. Trzeba wziąć flet i iść na ulicę. Tylko koniecznie trzeba uważać, żeby się nie przepaść kwiatami. Nawet tymi rzucanymi z okien. Bo kwiaty zawsze wędzną upatrzone wzrokiem ludzi. Flet to co innego. To taka gra wielkich myszów i małych ludków znad rzeki Mao-sa, gdzie jest wiosna. Wiadomo przecież, jak ludzie pragną wiosny, jak chcą, aby był już czas wyjść na balkony zawieszzone nad ulicami. A flet to właśnie zapowiedź, że nadzieja, że blisko już wiatr z kraju Mao-sa. I gdybym ja grał na flecie, to byłaby jedyna rada na wszystkich ludzi.

Stanisław J. Rostworowski

EWA BECHYNE

Pustynia

słońce rozkrzyczane blaskiem
uspia kołyszące horyzont
bezsilnością palm opada dzień
w gorącą lepkość piasku

chodzili w kolo
zebrząc nagością ramion
i toczyli obręcze ust
po drodze pragnienia.

skradali się
wyciem rozwartych zrenic
myśląc
że jestem oaza
śmiałam się wtedy
fatamorgana

NELLY ZACHAJKIEWICZ

Ucieczka

A gdy odejdziemy już
Od gajów cytrynowych
Pachnieć będą owocami utraconymi.

Gdy się obrócisz i spojrzysz w oczy
południa
Za nami będą blaski niedokończone.

A my uciekać będziemy
Przed słońcem, przed jego zachodem
By nie patrzeć jak się łączy z błotem
Które nieś będzie
Z południa na północ
Uciekając, uciekając daleko
Od gajów cytrynowych,
Z których wycisnęło mi do ust gorzyc.

Dyliżans

Polowanie

Człowiek stary jak słowo drepce ulicą. Ubranie jego wywołuje śmiech dzieciarni. Człowiek stary lubi śmiech, choć sam się nigdy nie śmieje dlatego, że widział za dużo.

— „Wolno się śmiać dzieciom — mówi — potem jednak wszystko przestaje być wesołe”.

Stary człowiek mieszka na peryferiach nowego miasta, którego nie lubi, bo nie ma patyny. Jego miasto zniknęło z hukiem padających ścian. Został tylko okruh gruzów — dzisiejszy dom starego człowieka. Teraz jedzie do domu już także starym tramwajem, ale gdy wstłucha się w jego tempo — czuje truchły konia i skrzywienie osi dyliżansu, bo to bardzo stary człowiek. Spiesz się więc do tramwaju, którym pojedzie na koniec miasta. Jeśli nie zdąży, może zaczeka na swój dyliżans, który nadjedzie w poprzek gruzów od przystanku jego młodości do stacji końcowej.

Dlaczego tym razem nie czuł, że zabija? Do tej pory każdy strzał stawał się jednym więcej małym krzyżykiem. Pod każdym z nich trzepotało jakieś ptasie serce, długo jeszcze nim przebrzmiało echo. Teraz słyszał wybuch naboju, lecz nie czuł trzepotania. A przecież był to jastrząb.

— „Nie dziwnego — myślał — zobajętniałem tak jak lekarze w szpitalach. Oni na zimno preparują obiekty, ja stawiam kropki w opierzonych sercach ptaków. To był jastrząb. Jestem podobny do niego w tym, że zabijam, a gorszy — że myślę. Wiem, że wszystkie odgłosy strzałów wrócą, by mnie zniszczyć w jednym, ogromnym wybuchu ponaddwukrotnych pocisków.”

O TEATRZE PROPOZYCJI

Teatr Propozycji to taki dalszy krok w stosunku do Teatru przy Stoliku. W Teatrze przy Stoliku aktorzy siedzą przy stoliku (stąd nazwa) i czytają tekst sztuki siedząc. W Teatrze Propozycji natomiast idą dalej. Mogą już sobie nawet wstawać, kucnąć, klekać... Byle nie przy stoliku. Ostatnio stolik stał się przeżytkiem...

I tutaj zaczyna się nowa technika gry. Aktor gra głównie nogami. Maksymalnie wykorzystanie i wyeksponowanie nóg, daje widzowi niezapomniane wrażenia.

Poza tym ileż udogodnień dla artysty. Nie potrzebuje grać rękami, bo w rękach trzyma egzemplarz sztuki. Nie potrzebuje grać twarzą, bo jest ona zakryta egzemplarzem. Nie potrzebuje się wstydić... — bo nie widzi wyrazu twarzy publiczności...

Mówmy poważnie. Teatr Propozycji postawił sobie za cel poznawanie entuzjastów teatru z interesującymi sztukami, które z takich czy innych względów nie mogą być wystawione w „prawdziwym” teatrze. Teatr Propozycji, w odróżnieniu od Teatru przy Stoliku, wprowadza pewne elementy inscenizacyjne. A więc nie tylko odczytanie tekstu danej sztuki, ale też podział na scenę i widownię, „zarysowanie” sytuacji, efekty akustyczne i świetlne.

Jak wywiązał się z tego lubelski Teatr Propozycji? Jak wypadła pre-

miera „Pamiętnika Anny Frank” w jego wykonaniu?

Po jednym występie za wcześniej jeszcze mówić o takim czy innym doborze repertuaru. W tej chwili interesują mnie raczej sprawy natury technicznej.

W teatrze eksperymentującym, a do takich Teatr Propozycji niewątpliwie należy, uwagę przywiązuje się przede wszystkim do przemyślanej, interesującej inscenizacji. To jest dużo trudniejsze niż tradycyjny teatr. Tutaj nie można trzymać się starych, ustalonych kanonów. Właśnie tutaj nabiera wagi zagadnienie, czy jeśli „teatr”, to koniecznie na scenie, czy jak „scena”, to koniecznie z jednej strony widownię, z drugiej aktorzy, a nie np. „zwykli” widzowie i widzowie, którzy opowiadają daną sztukę? Czy nie można znaleźć innego rozwiązania, jak tylko stłamszenie na małej scenie klubu Nora kilkunastu osób, czy... Nawet tutaj istnieją dziesiątki sposobów na stworzenie z takiego „spotkania z dramatem” prawdziwie interesującego przedstawienia...

Długotrwałe oklaski po ostatnich słowach sztuki mogłyby wydać się zaprzeczeniem tego, co napisałem. Ależ nie. Wszyscy biliśmy brawo dla Anny Frank. Dla twórców takiej placówki kulturalnej, dla aktorów, którzy w przegotowanie przedstawienia włożyli wiele zapału i pracy.

Dobrze, że są zapaleńcy, którzy stworzyli Teatr Propozycji. Sek w tym, żeby jego aspiracje artystyczne nie były aspiracjami tylko na miarę lubelską...

Midas

Debiut Koziejowskiej

JÓZEF W. ZIĘBA

Przez ostatnie piętnaście lat młoda poezja lubelska przestała się liczyć na literackim rynku. Oczywiście główną przyczyną takiego stanu rzeczy był znamienny brak książkowych debiutów. Dziesiątki pojawiających się w prasie nazwisk ginęło. Po jakimś czasie niektóre z nich wypływały poza Lublinem, ale większość umierała śmiercią naturalną na lubelskim bruku. Po prostu nie było poetyckiego sensu istnienia dla poety, który z góry musiał zrezygnować z pokazania swego zbioru szerszemu kręgowi odbiorców. O wydawnictwach centralnych debiutant prowincjonalnego Lublina nawet bol się myśleć. Takim stanem istniał do ubiegłego roku, kiedy to Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza podpisała umowy wydawnicze na raz z kilkunastoma poetami. Między innymi na piętnastoletnie Polski Ludowej ukazały się poetyckie arkusze (na obraz i podobieństwo arkuszy łódzkich). Chyba za dużo na raz podpisano umów, bo pierwszy z zapowiadanej serii tomików ukazał się w sprzedaży dopiero na kiermaszu w Dniach Osiaty. Książki i Prasy w roku bieżącym. Tomikiem tym są „Lowy” Irenej Koziejowskiej.

Na pewno wiersze Koziejowskiej na skalę krajową nie są rewelacją, ale niewątpliwie zasługują na uwagę. Poetka dysponuje bowiem bardzo nieprzeciętnym darem poetyckiego obrazowania, który to dar wykorzystuje do ukazania własnego zamkniętego świata przeżyć.

Mam swoje małe myśli,
swoje małe słowa —
i gdy noc bladym nikiem

powleka sen wierzby —
wynoszę je ukradkiem —
smuga księżycowa —
by je rżnąć od wewnątrz
wylśnić i wusrebrzyć —
(początek wiersza „Słowa”)

W innym miejscu powie:

Jestem jak dzwon, którego serce
ktoś wyjął, bo dzwon pusty uolał.
(„Dzwon”)

Skarga ta połączy się w innym wierszu z zadumą smutnej kontemplacji życia („Wiatrak”). Głębia kontemplacji nie jest jednak najsilniejszą stroną wierszy Koziejowskiej. Po ciekawym wyjściu poetka pod koniec wiersza się gubi, lub dochodzi do wcale nierewelacyjnego odkrycia. Refleksje wypowiedziane w punktach przez swą tandarną traci świeżość poetyckiego widzenia. Koziejowska, jak już mówiłem, najlepiej posługuje się obrazem lub zmetaforizowanym opisem. Niestety, kształtowanie się obrazu autorka często niszczy rozmowami, które wyraził się nielednokrotnie wpisaniem w obraz uwarunkowanego rymem pustego wersetu. Oczywiście znalazł się w wierszach Koziejowskiej, zresztą jak w każdym poetyckim debiucie, nieco nieporadności, naiwności i niedopracowania. Trzeba jednak powiedzieć, że potknęła te nie dyskwalifikują ciekawego tomiku Irenej Koziejowskiej.

Nie wspominałem jeszcze o pojawiających się tu czasem nutach młodopolskiego sentymentalizmu, które stać się mogą niebezpieczne dla dalszego rozwoju poetki.

Należy się słowa uznania dla LSW za staranne i estetyczne wydanie tomiku. Niepoważnie jednak wygląda na ostatniej stronie litania nazwisk redaktorów odpowiedzialnych za ukazanie się takiego drobiazgu.

Irena Koziejowska: „Lowy”. Lublin 1968. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, s. 33. cena 5 zł.

Cud nad morzem

(Dokończenie ze str. 1)

potem z drżeniem oczekiwano na rezultat.

Jeśli statek „wyszedł”, to duża w tym, zasięga konsultantów radzieckich, którzy uczyli stoczniowców całego abecadła budownictwa okrętowego.

Doświadczenie rosło. Drugi statek był lepszy od pierwszego. Trzeci od drugiego. Czwarty od trzeciego. 60 statków o nośności 238 tys. TDW opuściło już jedną tylko stocznia szczecińską, w tym pierwszy szczeciński dziesięciotysięcznik „Janek Krawczyński”, który, wznoszący się na wysoki, koła, cz. eropiętrowej kamienicy! Ale to już nie jest „szczyt” naszego przemysłu okrętowego: w stoczni gdańskiej zwodowano 19-tysięcznik „Profesor Huber”, wysoki na 21 m, długości na 177 m i szeroki na 22 m. Niewiele państw, nawet o wielowiekowej tradycji morskiej, może się poszczycić takim osiągnięciem.

Nasze stocznie pracują dla potrzeb krajowych i na eksport. Wiadomo: eksport to dewiza i mimo rosnących potrzeb naszej własnej floty nie rezygnujemy z tego źródła dochodów. Z drugiej strony eksportując jedne statki, drugie — importujemy.

Problem jest poważny, sprawa ta budzi wiele nieporozumień, dlatego warto poświęcić jej kilka słów.

Nasze stocznie — mimo że według rejestru Lloyda jesteśmy na 10 miejsc na świecie — produkują tylko statki seryjne, określonego typu. A przecież flota handlowa musi dysponować statkami różnego rodzaju. Jeśli potrzebny jest nam np. drobnicowiec, wyposażony w chłodnię, do przewozu towarów z Południowej Ameryki, musimy go kupić za granicą, bo takich drobnicowców jeszcze nie produkujemy. To samo jest z holownikami czy statkami ratowniczymi.

Dalej — za granicą kupujemy też statki stare. Kupując je, jesteśmy przekonani, że posłużą nam one jeszcze 8—10 lat i po tym czasie oddamy je bez żalu na złom. W ciągu tych 8—10 lat okręty te nie tylko zamortyzują się, ale i przyniosą nam ważny dochód. Ważne jest i to, że takie wysłużone statki kupujemy na raty.

A eksport? Exportare necesse est. K. Błahij pisał przed dwoma laty w „GŁOSIE SZCZECIŃSKIM”:

„Eksport jest opłacalny, ponieważ wyszliśmy już z tradycyjnego rynku radziecko-chińskiego, a weszliśmy na rynek dolarowy i szterlingowy, skąd czerpiemy nie tylko potrzebne nam artykuły, surowce, lecz również cenne dewizy... Nie bez znaczenia jest fakt, że za wyeksportowane statki możemy na budowę w kraju maszyn okrętowych i skomplikowanego sprzętu nawigacyjnego. Słowem — eksport statków pozwala rozwijać własną flotę”.

A jak z tą własną flotą?

W jednym tylko 1959 roku naszej flocie przybyło więcej statków (ok. 150 tys. TDW), niż liczyła cała nasza flota w 1939 roku. Dalej: w tymże 1959 roku przyrost tonażu floty był większy niż w całym Planie 6-letnim. I trzeci fakt: w ciągu tylko pięciu lat 1956—1960 państwo przeznaczyło na gospodarkę morską co najmniej tyle (w cenach porównywalnych), ile wynosił przed wojną globalny koszt budowy portu i miasta Gdyni.

Komentarze zbyteczne.

NIECH Polak nadal orze, niech orze traktorami, ale niech nie zapomina o morzu. Niech zna nie tylko Międzyzdroje i Sopot, ale i Gdynię i Gdańsk, Szczecin i nasz najmłodszy port — Kołobrzeg.

Ale, niestety, z tą wiedzą o morzu różnie bywa. Co na przykład wie maturzysta na temat naszej gospo-

(Dokończenie ze str. 1)

kiedy dokonanie przerwania jest bardzo niebezpieczne. Doprawdy opada nam wtedy ręce: co robić?

W powiecie tomaszowskim szerzy się gruźlica. Chorują ludzie dorośli, młodzież, dzieci, choruje bydło. Kto kogo zaraża? Trudno dojść. System lańcuszkowy. Po ostatnich badaniach weterynaryjnych prowadzone są starania o wyeliminowanie z hodowli sztuk chorych.

Przy punkcie skupu w Tomaszowie wiszą ogłoszenie, że z powodu przyszcycy, punkt nie kupuje od chłopów nabiału. Ale na targu ludzie kupią wszystko: i masło z gruźliczego mleka, i samo mleko z przyszcycą, i jaja od chorych kur, nawet zakażone mięso. Taniej przecięt od chłopów niż w sklepie, a z groszem dziś każdy się liczy. Lekarze gadają o zarazkach, bo im za to gadanie piątą i rząd im tak każe, a przecięt wiadomo, że od jajek i masła nikt jeszcze nie umarł. W tomaszowskim powiecie umiera się raczej na nie znaną lekarzom (za to świetnie znaną zielarom — znachorom) „srodkową chorobę”, albo na „przestraszenie”, albo np. z powodu obciążenia kołtuna. O, z kołtunem to żartów nie ma. Zaraz człowieka powykrecą, a nawet i „do Abramka na piwo” można się przejechać, ale o tym za chwilę.

Powiat tomaszowski jest raczej ubogi. Oczywiście i on ma swoich krezusów: we wsi Steniatyn i we wsi Telatyn chłopci tak się dorobili na burakach i konopiach, że mają nie tylko piękne nowe domy, ale i własne „Warszawy”. Są to jednak wyjątki. Ogół żyje przeważnie w ubóstwie, niesłychanym brudzie i ciemności. Jest wprawdzie w powiecie wielki PGR Machnow, są osrodki maszynowe, fabryka mebli w Tarnawatce, ale „nowe” nie wkracza tu szybkim, tryumfalnym pochodem. Jest przyjmowane trochę nieufnie i z ociąganiem. Słabo dociera do głębi psychiki ogółu.

Co można posłyszeć w przychodni „D”.

Młoda lekarka Anna Michalak od czterech lat pracuje w naprawdę świetnie postawionym tomaszowskim szpitalu na oddziale dziecięcym i w Ośrodku Zdrowia w poradni „D”. Ponadto, od czasu do czasu „w zastępstwie” wyjeżdża na wieś na wezwanie karetką pogotowia. Przez jej ręce przechodzi co dzień kilkadziesiąt dzieci.

— Z takim brudem i z taką ciemnotą — opowiada — nie spotkałam się dotychczas nigdzie. Proszę mi powiedzieć, to wcale nie przesada, ale kołtuny zapuszczone u dzieci leżą nie na sztuki, ale na tuziny. Zupełny brak wśród matek jakiegokolwiek podstawowej znajomości pielęgnowania niemowląt. Czasem dziwię się, jak te biedne dziewczki w ogóle utrzymują się przy życiu.

Słowa lekarki potwierdza pielęgnarka. Przykłady? Można o nich mówić godzinami. Oto kilka z ostatnich dni.

Matka ze wsi przynosi chore dziecko. Szmaty, w których jest owinięte, wprost cuchną. Dziecko pokryte strupami brudu, nie kapane chyba od urodzenia.

— Dlaczego pani dziecka nie umyje? Jak można je tak utrzymywać?

— Ja nie jestem ubezpieczona i nie mam pieniędzy na wyrzucanie na lekarzy.

— Ja pani nie każę pieniędzy na lekarzy wydawać, ale musi pani dziecko kąpać.

— Tak? Dobrze pani mówić. Na Boże Narodzenie tyle że mu szmatką głębę wytarłam, zaraz mi zachorował.

Babka przyniosła wnuczkę. Kilku-miesięczne dziecko miało długie pazury z potężną porcją „kociej żaloby”.

— Niech pani zaraz zlikwiduje te paznokcie. Przecięt dziecko może sobie nimi oczy wydrapać.

— Chyba pani doktor widzi, że nie mam zębów — obraziła się babka — Nożyczkami obcinać? Za nic na świecie. Zaraz by dzieciska „pokreciło”.

Matka przyniosła dziecko z zapaleniem płuc w bardzo ciężkim stanie.

— Natychmiast zabieram ją do szpitala — zdecydowała lekarka.

— Nie, nie zgadzam się — powiedziała spokojnie matka — to tylko robaki. I ja bym prosiła coś na te roba-

darki morskiej? Strasznie ograniczony i ubogi jest program szkolny w tej dziedzinie. Postulat pod adresem Ministerstwa Oświaty o rozszerzenie tematyki morskiej w nowym roku szkolnym jest jak najbardziej na czasie.

Marek A. Jaworski

ERA SPUTNIKÓW

ki. Ona to ma tak zawsze na nowiu: jedno liczko czerwone, drugie białe, i gorączka, i kaszle. To ją robaki tak męczą. A skończy się now, to jej to zaraz przejdzie.

Do szpitala przywieziono dwuletnią dziewczynkę, z silną anemią. Po tygodniu przyjechali rodzice.

— Już lepiej — mówi lekarka.

— A nie krzyczy?

— Nie. Spokojne i bardzo miłe dziecko.

— Pani doktor, a nie potrzeba by dla niej jajek?

— Nie. Ona ma tu dobre odżywianie i jajek tyle, że już ich jeść nie chce.

— Ale to nie do jedzenia. Do przelania. Bo ona jest „przestraszona” i z tego choruje. Teraz już spokojniejsza, bo my nad nią 24 jajka przelaliśmy. Ale przedtem to krzyczała i krzyczała.

Uwaga! Uwaga! W 1960 roku, kiedy świat pasjonuje się fotografią drugiej strony Księżyca i projektami podróży na inne planety, w powiecie tomaszowskim „przestraszenie” u dziecka leczy się w sposób następujący: dziecko kładzie się na wznak i trzyma mocno, żeby nie wstało. Koło głowy ustawia się szklankę z wodą. Nad główką trzyma się patyk. Druga osoba mrużąc zakłęcia rozbiła skorupkę jajka i zawartość wylewa na patyk tak, aby wpadła do wody. Wówczas pilnie patrzy się w szklankę, w której pokazuje się twarz tego, kto dziecko „przestraszył”. Samo pżelewanie „leczy”, ale jeszcze lepiej pomaga na tę chorobę, mówiąc delikatnie, obicie gęby sprawcy „przestraszenia”, „odkrytego” przy pomocy magicznego zabiegu!

Chłop, który urodził cię, i chłop, który urodził dziewczynkę

Szpital tomaszowski sprawia naprawdę imponujące wrażenie: duży, nowoczesny, lśn. bielą ciągłe nowych, rozbudowujących się pawilonów. Do bardzo poważnych osiągnięć tomaszowskiej Służby Zdrowia trzeba zaliczyć to, że niemal wszystkie porody odbywają się obecnie w szpitalu, a w ostateczności i w żbach porodowych. Przychodząc do zdrowia w ciszy i spokoju kobiety mają wreszcie czas na swobodne pogadanie i obgadanie krewnych, znajomych, sąsiadów i własnych spraw małżeńskich, które nieraz są niezmiernie skomplikowane.

— Mąż mojej sąsiadki stale wypijał jej śmietanę. Kobieta ani masła nie mogła zrobić, ani z czym innym na targ pojechać. Tośmy się z niego śmiali: „Pijta, pijta śmietanę, to się jeszcze kiedy ociełita”. Aż wreszcie tak roku w zimie, w duży mróz, ten chłop poszedł do swoich krewniaków na drugą wieś. Popili se trochę, a że się zrobiła noc, posiali mu na podłodze. Ale wiecie, im się dwa dni przedtem krowa ociełita, a że był silny mróz, wzięli bydłako do chałupy. W nocy cielak wlaź do mojego sąsiada pod kołach. Chłop się obudził, patrzy: cielę. Tak się przestraszył i zawstydził, że nie baczył na noc, ani na mróz, tylko uciekł do swojej chałupy i żonie w wielkiej tajemnicy opowiedział, jak to się ociełiło u krewniaków i że na tamtą wieś więcej nie pójdzie. I co powiecie: nie poszedł. I śmietany teraz do

ust nie bierze. Boj się, że drugie cię urodzi.

— A ja, wiecie, to rodziłam przedtem same dziewczynki. Już miałam dwie i znów się spodziewałam. A mój zwowiedział mi, że jak tym razem nie będzie chłopak, to zabije i mnie i dziecko. No i zaczęłam rodzić. Była przy mnie wtedy akuszerka, ale mówię wam, to prosto anioli z nieba. Ona mi życie uratowała. Więc ona wtedy była przy mnie i ja jej to wszystko mówię, a ona mi: „Nic się nie bój. Zebysz tylko zdrowo urodziła, to już ja zrobię tak, że wszystko będzie dobrze”. No i urodziłam dwojaczki — obie dziewczuchy. Myślałam, że umrę ze strachu. Akuszerka dzieci wykapała, schowała pod kołdrę i mówi do mnie: „Krzycz dalej”. Zawołała mojego ze stodoły i powiada: „Wasza żona nie może urodzić. Trzeba jej pomóc. Pijcie” (w tomaszowskim do dziś istnieje przesąd, że kiedy żona nie może urodzić, mąż powinien siedzieć przy niej i pić wodkę, bo to jej pomaga). Mój siadł i pije, a ona mu na boleści coś do tej wódki wysypała. W końcu jak wypił ze trzy ćwiartki położył się i spał. To ona wzięła jedno dziecko i położyła przy nim, a drugie przy mnie. Wyszło kilka godzin i mój się obudził. Zaczął jęczeć, bo go bruczn bolal. Patrzy, a tu obok niego dziecko — dziewczynka. „Skąd to?” — pyta. A akuszerka: „Oj, miałam ja z wami kłopotu więcej jak z waszą kobietą. Dziewczynkę urodziłaście”. „A żona?” — „Też dziewczynkę”. I pokazuje mu. To mój dopiero zaczął bić głowę o ławę, że on takiego wstydu nie przeżyje, że koniec sobie zrobi, bo za pośmiwisko dla całej wsi stanie, że on, chłop dziewczynkę urodził. A akuszerka: „Poproście żony, to może zechce wziąć te waszą dziewczynkę za swoją i wstydu będzie uniknęła”. Klęknął przede mną jak w kościele i prosił, i przysięgał, że mnie więcej nawet palcem nie tknie, żebym tylko mówiła, że obie dziewczynki ja urodziłam. Zrodziłam się i co powiecie? Przez te cztery lata nie uderzył mnie ani razu.

Z tomaszowskich plotów krzyczą wielki literami afisze „Estrady”: „Rewelacyjny taniec z Murzynem”. Na jednej z wystaw transparent: „PKO to socjalizm”. A w całym mieście nie ma, poza szpitaliem, kanalizację. Na 26 studni tylko z dwu woda nadaje się do picia bez przegotowania. Są projekty budowy studni głębinowych i wodociągów, ale kiedy to tam jeszcze będzie...

A przecież podniesienie poziomu kulturalnego musi przyjsć i tu. I to szybko. Potrzeba do tego trochę dobrej woli, trochę sprawności organizacyjnej, energii i oczywiście nakładów pieniężnych. Jak długo jeszcze będzie czekał powiat tomaszowski na przebudzenie? Kiedy wreszcie bite drogi połączą wsie? Kiedy zaczną się sprzątać kupy nawozu i śmieci z ulic Łaszczowa, Komarowa, Tyszowice i wreszcie samego Tomaszowa? Kiedy w Śuscu stanie sanatorium dla gruźlików? Kiedy ruszą turyści na przepiękne Roztocze? Kiedy powiat tomaszowski przestanie być Polską drzemającą w zapomnieniu?

Alina Tomaszewska

UDATNA INSCENIZACJA KIEPSKIEJ SZTUKI

PIOTR ŻBIKOWSKI

Różnie bywa z żywotnością sztuk teatralnych. Jedne dzięki doniosłości swej problematyki, filozoficzno-artystycznej zachowują aktualność na przestrzeni dziesiątków lat czy nawet stuleci, inne mająją bezpowrotnie wraz ze zmianą warunków społecznych, obyczajowych i kulturalnych, które złożyły się na ich powstanie. Dramat Gabriela Zapolskiej „Mężczyzna”, wystawiany ostatnio na scenie teatru lubelskiego, należy niewątpliwie do tych ostatnich.

Banalna fabuła, problematyka, która w naszych warunkach od dawna straciła swoją aktualność, nie pogłębione psychologicznie postaci oraz nieudolnie skonstruowana intryga — skazywały sztukę na zapomnienie. Dramat

Elki, to dramat kobiety umiędzwojony w ściśle określonych ramach historycznych, spowodowany przecięt nie tyle podłością innego człowieka (Karola), ile specyfiką stosunków społecznych i obyczajowych, jakie panowały w Polsce w II połowie XIX wieku. Próba pozytywnej odpowiedzi, szukanie dróg wyjścia, którego wyrazem jest postawa Julki wobec życia, — to daleki, dla przeciętne go widza może nawet niezbyt ciekawy ślad dawno ukończonych sporów i polemik o równouprawnienie umysłowe i społeczne kobiety, motyw rozvodu, który ma decydować o szczęściu bohaterów sztuki, nie przekonuje doświadczonego widza, wreszcie portret główna — Karol, jak by karykaturalnie skopiowany z dziewiętnastowiecznych koperytywów, jest tylko nieudolnym pierwowzorem postaci Dauma czy Boguckiego i zamiast obrazić — śmieszy.

Słuka, w zamierzeniach i intencjach twórczych Zapolskiej, a przede wszystkim w swej obiektywnej wymowie, ma charakter wyraźnej tendencji, chodzi o niej o napiętnowanie bolące społecznych i obyczajowych.

(Dokończenie na str. 8)

Udatna inscenizacja

(Dalszy ciąg ze str. 7)

o publicystyczny niemal porachunek ze współczesnością, a nie o uchwytnie typowych, realistycznych sytuacji i charakterystycznych postaci.

U narodzin sztuki leżała nie obserwacja rzeczywistości, ale chęć zilustrowania tezy o upośledzeniu kobiety w ramach stosunków społecznych współczesnych Zapskiej oraz jej bezbronności wobec kaprysu czy podłości mężczyzny. Stąd karykaturalne nierzad przedstawienie postaci (Karol), melodramatyczność sytuacji, banalność intrygi i wreszcie publicystyczne, „łopałologiczne” zakończenie.

Takie refleksje i wrażenia nasuwają się „na gorąco”, po przeczytaniu sztuki. Dlatego też na spektakl idzie się z pewną obawą, a nawet uprzedzeniem. Czy ze sztuki, która, powiedzmy sobie szczerze, należy do trzeciorzędnej literatury, można zrobić dobre przedstawienie. Czy postaci, w niektórych tylko scenach odzyskujące nerw dramatyczny, potrafią ze sceny przekonać widza, zainteresować go swymi perypetiami, przekazać mu prawdę swych przeżyć?

Przedstawienie rozwitwa na szczęście te wątpliwości i uprzedzenia. Reżyseria Zofii Modrzewskiej oraz gra Teresy Wierzbowskiej jako Elki, Stanisławy Zawiszanki jako Julki, Zofii Stefańskiej jako Niny i Zdzisława Sikory jako Karola, przetrwały niemal zupełnie sztukę.

Trzeba było doprawdy wielkiego wysiłku reżysera, żeby wreszcie zainteresować banalną intrygą i wysunąć na plan pierwszy sprawę najważniejszą — problem ludzkiej krzywdy, jednym słowem, żeby zrobić interesujący spektakl, którego problematyka, dzięki rozszerzeniu ram historycznych, odzyskała pełną aktualność społeczną i obyczajową.

Niełatwo było dramat Elki skomponowany w oparciu o dziesiętnastowieczne realia obyczajowe i spo-

łeczne, zamienić na dramat naiwnej i niedoświadczonej życiowo dziewczyny, dramat, który zdarzyć się może w każdej epoce historycznej i który jest w pełni czytelny również dla współczesnego widza. Bo chyba w tym kierunku szły zamierzenia reżyserki Zofii Modrzewskiej, tzn. w kierunku uogólnienia sytuacji ukazanej przez Zapską w sztuce i zblżenia jej, powtórnego zaktualizowania w świadomości dzisiejszego odbiorcy. A o ile takie odczytanie intencji reżyserki jest trafne, to jednocześnie dodać trzeba, że zostały one zrealizowane w sposób zadowalający nawet wybrednego widza teatralnego, bez naruszenia jednocześnie zasadniczej struktury i postyki dramatu.

Modrzewska nie poszła drogą najłatwiejszą, jaką wybrał reżyser katowicki interpretując „Mężczyznę” jako komedię, a przecież odniosła w tej sztuce niemały sukces reżyserki.

Przyznać trzeba, że sukces ten był również zasługą aktorów. Teresa Wierzbowska zagrała doskonale rolę Elki. Wydołała w pełni naiwność, bezradność i wdzięk młodej dziewczyny przeżywającej najpierw swą pierwszą, wielką miłość, a potem bolesny zawód życiowy. Niektóre sceny, jak np. rozmowa z Julką po śmierci dziecka czy ostatnie spotkanie z Karolem, wzruszały niekłamany liryzmem i szczerością przeżyć.

Bardzo kobieca, trochę niepokojąca, mimo swej ostentacyjnie manifestowanej „męskości”, była Stanisława Zawiszanka jako Julka. Szczególnie wybrnęła także ze swej trudnej, zbyt groteskowo przez Zapską potraktowanej roli, Zofia Stefańska. Karol, Stanisława Sikory, najgłębiej tkwił w specyficznej aurze obyczajowej okresu, w którym sztuka powstała. Stąd pewien dystans historyczny tej postaci wobec współczesnego widza oraz wynika z tendencji autorskich — operetkowość. Trudno jednak winić tutaj aktora czy reżysera. Tak właśnie, złośliwie i operetkowo, widziała tę postać Zapska.

W sumie, dzięki wysiłkom reżysera i dobrej, a często bardzo dobrej grze aktorów, widz lubelski zobaczył udaną realizację sceniczną, trzeciorzędnej sztuki.

Piotr Żbikowski

LISTY MUZYCZNE

(Dokończenie ze str. 4)

Ravela tajemniczy utwór „Alborado del Gracioso”, Szostakowicza I i IX Symfonie i bliżej nieznanego „Russela” Suię „Festyn pajaków”. Gorzej dlatego, że bardzo pragnąłbym, aby wreszcie utwory te zostały naprawdę wykonane.

Tak więc znowu i w tym trzecim liście do Pani powraca problem program koncertów, problem muzyki dobrej i złej, a nie lekkiej i ciężkiej. Wypowiedź na ten temat Wodiczki w Nr 9 „Ruchu Muzycznego”, to przecież (jaka satysfakcja!) jak by moje własne słowa i Pani wie to dobrze:

(...) Nie ma muzyki „starej” i „nowej”, jest tylko dobra i zła. W procesie estetycznego uwarunkowania słuchacza na muzykę współczesną nie ma drogi „chronologicznej”. Jestem absolutnym przeciwnikiem stopniowego wtajemniczenia za pomocą długich (i nudnych) cykli, budowanych na zasadzie gradacji historycznej. Najgorszym wrogiem upowszechnienia jest — tak powszechna, niestety, w naszych programach koncertowych — nuda. Słuchacza należy niepokoić, atakować, szokować, nawet trytować. Poprzez to wszystko osiąga się rzecz najważniejszą: zainteresowanie. Jakże ożywa była atmosfera skandali towarzyszących prawykonaniom wielu współczesnych arcydzieł! Programy koncertowe należy układać na zasadach kontrastu, śmiałości zestawień stylistycznych i chronologicznych. Podstawową kategorią musi tu być zmiennosc.

Takich programów na przyszłość należy życzyć naszej Filharmonii. I kilka takich już było i o nich właśnie już pisałem. Byłem też na koncercie polskiej muzyki współczesnej w Warszawie z okazji I Międzynarodowego Kongresu Muzykologicznego poświęconego twórczości Chopina. Panowie muzykolodzy ziewali, udawali, że biją brawo. Nic dziwnego: zawód muzyczny i wra-

żliwość muzyczna nie muszą iść w parze. Nie dla ich uszu „Cztery eseje” i wstrząsająca „Muzyka żałobna”, którą wykonał również dyr. Cwojdzinski w Filharmonii Lubelskiej 8 IV 1960. Ale za lat sto może zbiorą się na kongresie i ziewać nie będą. Tak, tak: na razie muzyka nie jest sztuką dla wszystkich. A gdyby tak napisać to na afiszach? Może pełniejsze byłyby nasze sale koncertowe, może pełniej byłoby nawet i na najciekawszym w Lublinie w ostatnim kwartale koncercie: koncercie muzyki jazzowej.

I tym życzeniem kończę mój ostatni przed wakacjami list do Pani, który nie mógł być krótki, bo było w nim o programach muzycznych, o muzykach, o krytykach i muzykologach, o „Ruchu Muzycznym”, jubileuszach i nudzie, natomiast w liście moim nie było zółci, ponieważ serce mam wypełnione muzyką.

Do zobaczenia w Krakowie, grają „Święto wiosny” Strawińskiego.

Z ostatniej chwili: „Święto wiosny” przełożono na jesień.

Zbigniew Wielicki

NOTY

DYSKUSJA O KEYMINALACH TRWA. Na felieton Kisiela w „Tygodniku Powszechnym” dość zjadliwie odpowiedział „kwitując złościwość”, Pedziński w numerze 25 „Nowej Kultury”, gdzie również znajdujemy list Tadeusza Kosteckiego, broniącego swej pozycji w literaturze sensacyjnej i powołującego się na dodatnie opinie o jego książkach m. in. w „Kullach” i „Przyjaźń”. Ale najciekawszą pozycją na ten temat w tym samym nr-ze pisma jest „Czarny Bill zbłąkany w Warszawie”, którego autor Zygmunt Kalużyński przytacza wiele interesujących szczegółów o rozwoju literatury kryminalnej w Stanach Zjednoczonych przed wielkim Kryzysem i po nim.

Widzi mi się

Zbliża się okres urlopowy. Wczasy. Zasłużony odpoczynek. Na tak zwanym łonie natury. Jedni wyjadą do pobliskich wsi, gdzie czekają ich lasy, łąki i rzeki, inni wyruszą dalej — w góry czy nad morze. Morze. Jemu dzisiaj chcę poświęcić uwagę, zwłaszcza, że i Dni Morza teraz właśnie przypadają. Oczywiście nie będę się tu zastanawiał nad jego znaczeniem gospodarczym czy politycznym. Morze jako źródło przeżyć emocjonalnych, estetycznych, jako inspirator artystów, jako żywioł twórczy — to mnie w tej chwili interesuje. I jak ono na mnie działa, jak się do niego odnoszę.

Miałem dwadzieścia cztery lata, gdy ujrzałem je po raz pierwszy. Nie zapomnę tej chwili, kiedy przyjeżdżając do Gdyni, podówczas jeszcze cichej wioski rybackiej, upojony rześkim zapachem jodu i soli, pobiegłem czym prędzej na wybrzeże. Pusto tu było: inwazja przybyszów z całej Polski miała nastąpić dopiero później. Doznałem dziwnego wrażenia: ten sugestywny szum fal, ten bezbrzeżny obszar wody — przecież kiedyś z całą pewnością słyszałem to i widziałem. Znam to. Nie z książek i snów. Więc może ze swych poprzednich istnień? W tej pustce i w tym niezwykłym doznaniu był szczególny urok.

Rozczytywałem się w odkrywczych książkach Bernarda Chrzanowskiego, a później Zeromskiego. Wracalem potem nierzad nad Bałtyk, poznałem i zielony Adriatyk i intensywny błękit morza Tyrreńskiego, ale nigdy już nie powtórzyło się takie przejmujące przeżycie.

Mój stosunek do morza jest dwójaki: ten pierwszy, jedynie zresztą mi dostępny — biernego widza od strony plaży, oblepionej setkami nagich ciał oddających się na przemian słońcu i jałom — jest raczej nieokreślony... Owszem, odczuwam urodę tej bezgranicznej przestrzeni wodnej, grającej różnymi barwami w zależności od pogody i oświetlenia, i rozumieniem marynistów usiłujących to ruchośnie piękno przekazać palecie. I nawet w młocącym mi ten obraz oto-

MORZE

czeniu nie zawsze estetycznych kształtów ludzkich przez kilka dni czuję się nad morzem dobrze. Ale potem następuje reakcja i stopniowo zaczyna mnie to wszystko nudzić. Lubię ruch, długie marazje, wycieczki, ekspansję, a tutaj nie mogę się w ten sposób wyadawać, bo nawet nie pływam.

Kiedyś na Helu wyjechałem z rybami na połów. To już było co innego. Znalazłem się wśród tego żywiołu, a nie na rozleniwiającej plaży. Tak samo, choć to już sprawiało mniejsze wrażenie, przejeżdżałem stateczkiem z Sopotu do Jastarni albo Zalewem Szczecińskim do Świnoujścia czy z Neapolu na Capri. I tu właśnie występuje ten drugi mój stosunek do morza, oparty nie tyle na nikłym doświadczeniu, ile na lekturze. Był ogarniętym zewsząd przez morze, przeżył jego grozę w czasie burzy, walczył wraz z marynarzami o życie, a nie pasywiście kontemplował je z brzozy — to jest wspaniale! Dlatego z taką pasją czytałem kiedyś opisy samotnych wypraw Vossa, Slocuma czy Gerbaulta, dlatego przed dwoma laty nie mogłem się oderwać od „Kon-Tiki” Heyerdahla. Dlatego z przyjemnością towarzyszyłem w książce Urbańczyka próbie czterech naszych śmiarków przepłynięcia „Tratwą przez Bałtyk”. Dlatego wracam często do Conrada czy nawet Londona. Dlatego zazdroścę młodym żeglarzom, którzy na statkach szkolnych hartują swoje zdrowie, siły i odwagę.

Niestety, ponieważ znam morze tak małe i nie tak, jak mnie ono interesuje, nie inspirował mnie prawie wcale ten żywioł pod względem twórczym. Bierność jest obca mojej psychice, leniwa kontemplacja jednostajnego ruchu i szumu fal nie potrafiły stać się dla mnie podnieciem do pracy artystycznej. Inaczej niż góry, o których pomówimy następnym razem.

A jednak mimo wszystko wobec morza trudno być obojętnym.

X. Rovay

ZAWSZE Z DUŻYM ZAINTERESOWANIEM sięgamy po kulturalne rozważania na różne tematy Hanny Lipińskiej, zamieszczone w niedzielnym dodatku do „Sztandaru Ludu”. Ostatnio z prawdziwą przyjemnością przeczytałem jej trafne uwagi związane z „demokratyzacją dzieci” wychowywanych nierzad i dzisiaj przez niemających rodziców w „dalekiej od pojęcia równości atmosferze mitów o przywilejach”.

BŁĘDY JĘZYKOWE ZAWSZE RAZA, ale wolącej o pomstę do nieba w poezji zarówno oryginalnej, jak i tłumaczonej. Pisaliśmy już o tym nierzad. Do wianuszka tego rodzaju potknął przybywa nam J. M. Rymkiewicz, który w przekładzie „Kości” Willama S. Merwina pozwala sobie na taką niechlujność językową w polnie tego wiersza: „Choćbyś, jakbyś nie patrzył, widział, że się ciągną...”

I PANU BOGU ŚWIECZKA I DIABLU OGAREK. Od kilku tygodni znane pismo kulturalno-literackie powołane z ZSL zaczęło się ukazywać pod dość niezwykłym, bo podwójnym tytułem. Na temat ewentualnej zmiany tytułu przednio przeprowadzone w tym tygodniku dyskusje, w której czytelnicy wypowiadali się w tej sprawie za i przeciw. Ostatecznie rzecz rozstrzygnięto krakowskim targiem, utrzymując i dawny tytuł umieszczony w jednej szpalce (małe białe litery w czarnym otoku) i wprowadzając nowy — „Tygodnik Kulturalny” (czterospaltowy, wielkie litery w winietce). Dlaczego tak wstydliwie ukrywać tradycyjny, bo przedwojenny jeszcze tytuł „Orka”? Ze zmieniony skład redakcji i w pewnym sensie jej polityka? Ale przecież dzisiejsza „Kamena” prawie w niczym już nie przypomina miesięcznika, który ukazywał się w małym książkowym formacie przez sześć lat przedwojennych i w pierwszych latach po wyzwoleniu — jako pismo przede wszystkim poświęcone poezji. Jednak dawny tytuł pozostał. Tradycję czasami należy szanować.

INTERESUJĄCY REPORTAŻ Z GRENADY plóra Marit Sten a poświęcony przeważnie wspomnieniom o świetnym poecie, ofierze faszyzmu hiszpańskiego, F. Garcia Lorca, zamieścił „Przegląd Kulturalny” w nr-ze 25. ROZWAŻANIA WALDEMARA KIWIŁSKY („Rusycysta pod ścianą placu”) — nr 67 „Rzeczywistość”) nasuwają nieoczekiwany

wniosek. O ile przed wojną zainteresowanie krytyków literaturą i kulturą radziecką, mimo nie sprzyjających warunków, było znaczne (Parnicki, S. Baczyński, Stawar, Blüth i in., nie mówiąc już o prof. W. Lednickim), o tyle dzisiaj pod tym względem raczej panuje zastój. Młodzi polscy rusycyści tkwią w „ruskiej starlinie” i wola się ścież nad tekstami staroruskimi zamiast wkroczyć na tereny „najwyższej myśli społecznej i literackiej”, to znaczy XIX i XX wieku literatury rosyjskiej”. Słusznie autor artykułu dopomina się o poprzedzanie książek klasycznych odpowiednimi przedmowami i komentarzami, czego przeważnie nasze wydawnictwa nie stosują.

CZYŻBY ZBIERNOŚĆ ZAMIERZONA? Zbierność tytułów dwóch utworów różnych autorów zazwyczaj bywa przypadkowa. Przeważnie jej się unika. Nie dlatego, żeby tytuł był tabu i żeby broniły go jakiegoś pisane, czy niepisane prawa. Ale po prostu dlatego, że autorzy obawiają się zarzucenia im pod tym względem nieporadności. Jednak aktualnie ry Weyssenhoffa są wszystkim doskonale znane, a już literatom z całą pewnością. Czyżby więc Putrament celowo dał swojej nowej powieści, której fragment ukazał się przed dwoma tygodniami w „Nowej Kulturze”, tytuł „Puszczą”?

- kaj -



Rys. na str. 4 i 5
Jan Padée